

ZIEMIA

KOLBUSZOWSKA

Nr 3/270 dwukwartalnik: lipiec – grudzień 2022

Cena: 5,00 zł

Lotnik z Kolbuszowej

Kolbuszowscy meblarze artyści



Jubileusz 10-lecia Grupy Folklorystycznej
„Ziemia Kolbuszowska”

Kolory jesieni na kolbuszowskich Rozłogach

Antoni Kaczmarczyk – mój Tato, lekarz z powołania



3 Lotnik z Kolbuszowej
Edward Margański



11 Kolbuszowscy meblarze artyści
Adam Jan Skowroński



23 Leśnictwo – nowe miejsce w skansenie!
Agata Front



31 Kolory jesieni na kolbuszowskich Rozłogach
Halina Krzych



40 Antoni Kaczmarczyk – mój Tato, lekarz z powołania
Mirosław Kaczmarczyk



26 Tablica upamiętniająca ks. Dudziaka
Andrzej Jagodziński

Ziemia
KOLBUSZOWSKA

Kwartalnik społeczno-kulturalno-
-historyczny

INDEKS: 32616X
ISSN 1232-051X

Wydawca: Regionalne Towarzystwo Kultury im. J. M. Gosłara w Kolbuszowej
Przy współpracy: Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej w Kolbuszowej
Skład: Łukasz Szymański

Adres redakcji: Oddział Edukacji Kulturalnej i Regionalnej MiPPB,
ul. Piekarska 17 Skwer Regionalistów, 36-100 Kolbuszowa
e-mail: ziemiakolbuszowska@wp.pl

Odpowiedzialni za numer: Halina Krzych, Paweł Michno

W numerze:

- 3 Lotnik z Kolbuszowej
- 11 Kolbuszowscy Meblarze Artyści
- 19 Jubileusz 10. Lecia Grupy Folklorystycznej „Ziemia Kolbuszowska”
- 21 Las – uojciec nas...
- 23 Leśnictwo – nowe miejsce w skansenie!
- 25 Kwesta na cmentarzu 1 listopada
- 26 Tablica upamiętniająca ks. Dudziaka
- 28 Narodowe Czytanie w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej w Kolbuszowej
- 29 „Różnorodność świata zwierząt Płaskowyżu Kolbuszowskiego w obiektywie Zbigniewa Kożuchowskiego”
- 31 Kolory jesieni na kolbuszowskich Rozłogach
- 38 Zbiórka niepodległościowa
- 38 „Jak pomóc naszym skrzydlatym przyjaciółom?”
- 40 Antoni Kaczmarczyk - mój Tato, lekarz z powołania
- 42 Fiszki z Macondo* „Gorzko, gorzko” / Joanna Bator
- 43 Wspomnienie o Halinie Małaczyńskiej
- 44 Wspomnienie...
- 45 Promocja I tomu „Dziejów Kolbuszowej”
- 48 Fotozagadka

Edward Margański

Lotnik z Kolbuszowej

Będę lotnikiem. To pragnienie, ta potrzeba tkwiła we mnie od zawsze. Tak jak tylko mogę sięgnąć pamięcią. Nie byłem jednak pewny czy bardziej pragnę być pilotem, czy twórcą, inżynierem wymyślającym te najwspanialsze maszyny jakimi dla mnie były samoloty.

Być może jakiś wpływ na to miały latające nad Kolbuszową samoloty. Te z pobliskiej Jasionki i Mielca, a głównie chyba z pobliskiego lotniska w Niwiskach (tak, tak było takie lotnisko w końcu lat czterdziestych). Mając taki ambitny cel zdawałem sobie sprawę, że aby to osiągnąć muszę się uczyć. Uczyć nie tylko zagadnień technicznych, czy zawodowych, lecz również tych ogólnych dla poznania świata i reguł w nim panujących. Stałem się więc aktywnym (a jak niektórzy mówili nawiedzonym) czytelnikiem naszej biblioteki powiatowej. Ponieważ w tej bibliotece nie było dostatecznej ilości książek o szeroko

rozumianej technice, więc stałem się zagorzałym czytelnikiem takich periodyków jak: „Skrzydłata Polska”, „Młody Technik”, „Horyzonty Techniki”, a potem „Radioamator”, czy okresowo inne. Wszystkie swoje zaoszczędzone pieniądze przeznacząłem więc na cotygodniowe, czy co miesięczne wizyty w kiosku z gazetami na początku ulicy 3-go maja. Muszę przyznać, że te wizyty były dla mnie świętem, zaś zapach farby drukarskiej należnej właśnie do dostarczonej prasy był dla mnie swego rodzaju narkotykiem. I tu dla współczesnych czytelników papierowych gazet informacja sprzed lat. Świeże gazety z owych lat naprawdę pachniały farbą drukarską. Kończąc ten wątek to zwierzyć się mogę, że wzorem wielu innych nawiedzonych czytelników, te przeczytane egzemplarze skrzętnie zbierałem i po wielu latach miałem stopy tych periodyków skompletowanych według numerów i roczników.



MIĘDZY NILEM I NASZYM LICEUM. HARCERKI I MY HARCERZE-MODELARZE. PIERWSZY OD PRAWY SIEDZI AUTOR.

W czasach licealnych należało więc te zainteresowania przenieść na wyższy poziom. Najpierw więc modelarstwo. Rakiety napędzane spalaniem klisz celuloidowych i wykonywanym domowym sposobem czarnym prochem mogłem wykonywać samodzielnie w domu, lecz zrobienie modelu latającego to już inna sprawa. Trzeba było zdobyć materiały i nauczyć się je przekształcić w latający model. Takich jak ja było więcej, a Kolbuszowa to nie byle jakie miasto, przecież to stolica powiatu. Postanowiliśmy więc zorganizować prawdziwą modelarnię. Po kilku wizytach w Aeroklubie Mieleckim i po uzgodnieniach z władzami miejskimi i dyrektorem naszego liceum taka modelarnia powstała w pomieszczeniach pod sceną Domu Kultury po drugiej stronie ulicy, właściwie naprzeciwko mojego domu. W powstałej modelarni mogliśmy rozwijać swe zainteresowania nie tylko lotnictwem, ale co równie ważne rozwijać swe zdolności manualne i organizacyjne. Ponieważ większość z nas miała przeszłość związaną z harcerstwem, więc na fali odnowienia tej organizacji po roku 1956, stworzyliśmy jedną z pierwszych harcerskich drużyn lotniczych. W ramach jej działalności uczestniczyliśmy w wielu imprezach i szkoleniach, nie tylko na poziomie lokalnym, ale również ogólnokrajowym. Przykładem tego jest obóz modelarski w Strzebielinie Morskim, centralny obóz lotniczy w Lubieniu Kujawskim, czy zawody w Gdańsku i w Toruniu.

No i latanie. Zacząłem oczywiście w Mielcu, gdzie po wieloletniej przygodzie z modelarstwem lotniczym przyszła kolej na latanie. Stało się to we wrześniu 1961 roku gdy po skończeniu matury i po zdaniu egzaminu na Politechnikę Warszawską w dniu swoich urodzin wzniosłem się samodzielnie na szybowcu „Czapla” w powietrze. To był początek mojej zawodowej drogi jako pilota. W czasie tej ponad 40 letniej podróży wylatałem za sterami różnych maszyn latających prawie 2 tys. godzin i uzyskałem m.in. uprawnienia pilota doświadczalnego. Nie było mi jednak dane popracować na etacie pilota zawodowo, gdyż jak się w życiu okazało los pokierował inaczej.

Większość życia poświęciłem na działalność inżynierską, czy to jako konstruktor, menadżer różnych szczebli czy nauczyciel.

Właściwie decyzja czy pilot, czy konstruktor zapadła już wtedy gdy zdecydowałem się na egzamin na politechnikę, a nie do Oficerskiej Szkoły w Dęblinie. Pocięczałem się wtedy, że dyplom inżyniera nie powinien przeszkadzać (a nawet pomagać) w zarabianiu pieniędzy jako pilot.

Zdałem więc na MEiL, czyli wydział Mechaniczny Energetyki i Lotnictwa Politechniki Warszawskiej jedyny wówczas cywilny wydział kształcący inżynierów z branży lotniczej. Wydział trudny, lecz renomowany. Miałem przed sobą pięć i pół roku studiów. Jak je wykorzystać? Przecież to już początek mojego zawodowego życia, a w praktyce całego życia. Przyjąłem więc kilka celów, które w czasie uzupełniałem, udoskonalałem i w miarę możliwości realizowałem. Przede wszystkim nauka, zaangażowana nauka i to nie tylko ta w ramach programu zajęć, lecz również w tych wielorakich dziedzinach, do których mam dostęp jako student prestiżowej uczelni w stolicy. Dostęp do tych bibliotek, muzeów, rozlicznych organizacji i instytucji, z ich zasobami i możliwościami.



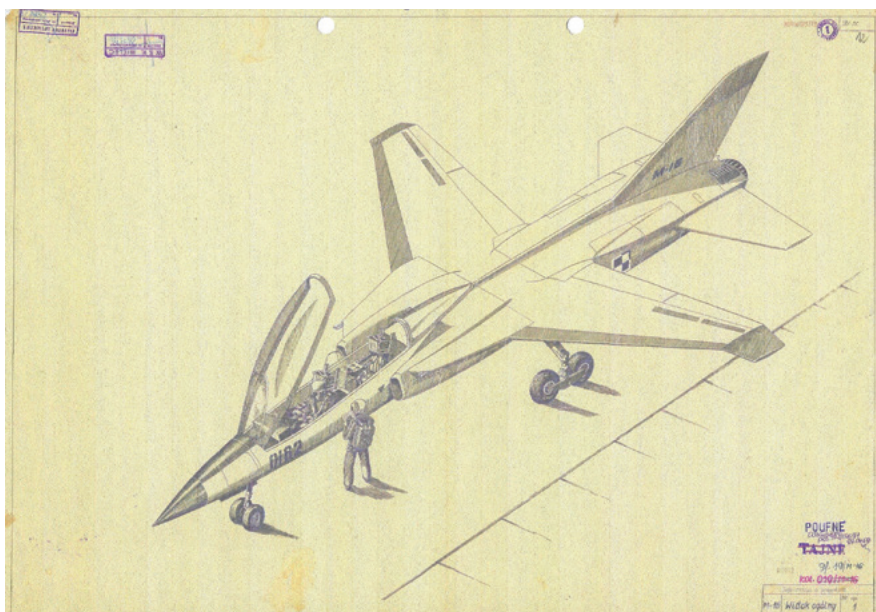
ZABAWY W „RAKIETNICTWO”.

Jednym słowem kontynuacja tego co wyniosłem z Kolbuszowej w ramach działalności w modelarni, czy w harcerstwie. Można to sformułować jako dążenie do nadprzeciętności i zaznaczania (w tym pozytywnym znaczeniu) swego miejsca w tłumie być może zdolniejszych ode mnie osób. Bo przecież startując w przyszłości do tej wymarzonej prestiżowej i dobrze płatnej pracy, dobrze mieć opinię nie tylko zdolnego, lecz również wyróżniającego się już na studiach organizatora, menadżera i zaangażowanego działacza społecznego, najlepiej z dużą charyzmą i kulturą osobistą. Istniejące na uczelni wtedy (a na pewno dzisiaj też) organizacje różnego autoramentu oferują możliwości aż nadto. W moim przypadku była to głównie działalność w Kole Naukowym Lotników, które reaktywowaliśmy po kilkunastoletnich wakacjach. W ramach tej działalności organizując różne spotkania, konferencje i wycieczki (w tym zagraniczne co było osiągnięciem we wczesnych latach sześćdziesiątych) zdobyliśmy nieraz bardzo trudnych problemów. A co ważniejsze, poznaliśmy osobiste ludzkie. Tych na stanowiskach, od których dużo zależy, lecz również ludzi bardzo, bardzo ciekawych pod wieloma względami. Był to dla nas okres, w którym mogliśmy zapoznać się z realnymi mechanizmami działania niektórych urzędów i instytucji.

Nasze działania po okresie działalności w zakresie organizacji spotkań, wycieczek, czy innych form takiej działalności postanowiliśmy po pewnym czasie przenieść na trochę wyższy poziom. Postanowiliśmy stworzyć coś materialnego. Coś co byłoby godne przyszłego inżyniera konstruującego i budującego samoloty, a przy okazji będącym kontynuacją sukcesów naszych kolegów. Kolegów, którzy studiowali na naszej uczelni w latach dwudziestych i trzydziestych ubiegłego wieku (no w owym czasie to był jednak nasz wiek). Po pierwszych wprawkach (przeróbka szybowca na motoszybowiec), postanowiliśmy skonstruować nowoczesny (a jakże) samolot do szkolenia i treningu pilotów. Samolot zdołaliśmy skonstruować (no niezupełnie do końca), lecz co

z jego wykonawstwem? Przecież był to samolot metalowy i w naszych założeniach naprawdę awangardowy. I tu z pomocą przyszedł nam przypadek. W owym czasie, czyli na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych w ramach rozwijania polskiego przemysłu lotniczego postanowiono w nieodległym przecież od Kolbuszowej Mielcu otworzyć i rozbudować własne biuro konstrukcyjne dla tworzenia nowych konstrukcji. Zamiar ten zmaterializował się w formie powstania w WSK Mielec ośrodka badawczo-rozwojowego. Należało więc skompletować odpowiednio przygotowaną kadrę. Zasoby WSK w tym względzie zupełnie nie wystarczały, ogłoszono więc zaciąg fachowców w całym przemyśle lotniczym, a i w tym przypadku na naszej uczelni. Chodziło o naszych absolwentów tuż po skończeniu studiów, lub tych którzy studia te ukończą w najbliższym czasie. Sprawa była super ważna, a do tego nagląca, więc na naszym wydziale pojawiła się delegacja z Mielca pod kierunkiem jednego z dyrektorów. Tak więc potrzeba spotkała się z możliwością jej spełnienia. I to nie tylko w formie zaangażowania kilku osób z odpowiednim wykształceniem, lecz całego grona kolegów, którzy angażując się w praktyczną pracę konstrukcyjną przy naszym studenckim samolocie wykazała otoczeniu (i oczywiście sobie), że konstruowanie jest ich pasją. W praktyce miało to formę umowy, w której WSK zobowiązało się wykonać w metalu w ramach posiadanych luzów produkcyjnych samolot skonstruowany przez studentów, zaś w zamian odpowiednia ilość jego twórców i innych absolwentów zasili kadrę nowo powstałego OBR-u. Umowa była raczej dżentelmeńska i co dziwniejsze mimo nawału przeszkód powoli zrealizowana.

Ja co prawda od prawie dwóch lat byłem asystentem w katedrze aerodynamiki na naszym wydziale, lecz jako pomysłodawca i koordynator budowy naszego samolotu byłem po prostu zobowiązany osobiście uczestniczyć w realizacji tej umowy. Tak więc w ramach rocznego oddelegowania z uczelni, które zresztą przedłużyło się do lat siedmiu, pojawiłem się w bliskim mi



TAK MIAŁ WYGLĄDAĆ PRZYSZŁY M-16.



„DUDUŚ KUDŁACZ” PO WYTOCZENIU GO NA LOTNISKO.



W GRONIE PRZYJACIÓŁ Z BIELSKA I MIELCA.



„SWIFT” I PROTOTYP „FOXA” PRZED OBLOTEM (NIE MA ZNAKÓW REJESTRACYJNYCH) NA LOTNISKU W BIELSKU



„FOX” W SWOIM ŻYWIOLIE NA POKAZACH.



KOLEJNY Z PRAWIE 100 „FOXÓW” W TRAKCIE FABRYCZNEGO OBLOTU.

Mielcu 28 km od rodzinnego miasta. Ten okres w moim życiu obfitował w całą gamę różnych wydarzeń, a w szczególności w mojej karierze zawodowej. Muszę tu powiedzieć, że jeżeli w moim megalomańskim odczuciu (każdy przecież to ma) uważam się za dobrego inżyniera fachowca od projektowania (i wykonania) różnych machin latających to, to przekonanie wyrosło głównie po tych kilku latach mojej praktyki w Mielcu. Ale po kolei.

Oczywiście praca przy maszynie do uprawy ziemi z powietrza, czyli przy sztandarowym w owym czasie samolocie M-15. Najpierw w biurze obliczeniowym, a po tym przy desce kreślarskiej. Później jako szef zespołu konstruktorów tworzący najpierw założenia konstrukcyjne, a potem wstępny projekt odrzutowego samolotu do szkolenia i treningu pilotów wojskowych. Projekt miał oznaczenie M-16, skończył się na etapie „Założeń Techniczno-Ekonomicznych” i był referowany na specjalnym posiedzeniu w Mielcu przedstawiciele chyba wszystkich członków Układu Warszawskiego. Brałem w tym posiedzeniu z oczywistych powodów udział. Co mi najbardziej utknęło w pamięci? Tytuł generałów (z odpowiednią ilością gwiazdek) nie spotkałem w jednym miejscu nigdy i nigdy nie zobaczę. No niestety decyzja gremium i wyższych czynników spowodowała, że projekt nie doczekał się realizacji. W przyszłości była nadzieja że, odrodzi się on w postaci „Irydy”, ale i on zakończył się na poziomie prototypów. No i praca przy naszym studenckim samolocie, czyli „Dudusiu Kudłacz” o nomenklaturze zakładowej M-17. Praca ta była w pewnym sensie ponadprogramowa, ale dla poznania zawodu inżynierskiego dla mnie i dla moich najbliższych kolegów, czyli Zbyszka Paturskiego, Jurka Cisowskiego i Leszka Rachonia wręcz nieoceniona. Przypomnijmy bowiem, że samolot miał zmaterializować się w wyniku wykorzystania wolnych mocy produkcyjnych WSK. A więc trzeba było te moce znaleźć, a co ważniejsze przekonać odpowiednie osoby, że one istnieją. Potem zaś nadzorować wykonawstwo, a w tym opracować alternatywne technologie i organizację

produkcji, aby te znalezione wolne moce produkcyjne wykorzystać do naszych celów. Katorżnicza praca, a co ważniejsze związana z tym, że nasz cel czyli latający samolot coraz bardziej się oddalał. Niemniej jednak to czego mogliśmy się nauczyć, sądzę, że kompensowało te minusy. Nauczyliśmy się bowiem zastosować w praktyce to co wynieśliśmy z uczelni, ale również poznaliśmy dogłębnie organizację dużego i jednak wzorcowego zakładu, jego poszczególnych służb i wydziałów. Współpracy z poszczególnymi ludźmi. Tymi na kierowniczych stanowiskach i tymi szeregowymi na swoich stanowiskach pracy. Tymi prawdziwymi ludźmi i fachowcami, ale również tymi co nimi nie byli. Końcowym efektem był jednak oblot samolotu po siedmiu latach ciężkiej pracy w lipcu 1977 roku. Samolot wymagał jednak dalszych prób i wynikających stąd zmian i przeróbek. Jednak wobec nawału prac w OBR, oraz braku zainteresowania potencjalnych odbiorców, władze zakładu zdecydowały się zamknąć temat na tym etapie.

A co z lataniem? Działo się. Naprawdę w tym okresie się działo. Gdy przybyłem do Mielca miałem wylatane na szybowcach ok. 200 godzin (w tym uprawnienia instruktorskie) i świeżo zdobytą licencję pilota samolotowego. Opuszczając Mielec byłem pilotem z licencją pilota zawodowego i miałem w tej licencji wpisane m.in. uprawnienia instruktora samolotowego, do lotów w warunkach IFR i nawet pilota doświadczalnego. W pewnym momencie wydawało się, że będę zarabiać na życie jako pilot doświadczalny w WSK, lecz życie potoczyło się innymi torami.

Czy to możliwe aby w tak krótkim czasie zmieścić tak wiele doświadczeń? Praktyka wykazała, że można, ale z wielkim uszczerbkiem dla rodziny. I tutaj należą się słowa wdzięczności dla mojej żony, która obok swej pracy musiała podołać również wychowaniu najpierw jednej, a potem dwóch córek. Być może jej wyrozumiałość i bądźmy szczerzy poświęcenie, wyniosła z domu, gdyż jej ojcem był znakomity pilot wojskowy. A bycie żoną pilota to zupełnie inna bajka.

Ze względów rodzinnych musiałem jednak wrócić do Warszawy. Wróciłem do Instytutu Lotnictwa jako przedstawiciel OBR-u w Mielcu. Po jednak niewiele ponad roku znowu przeprowadzka. Tym razem do Bielska Białej. W zamierzeniu zarówno moim jak i chyba dyrekcji Zjednoczenia Przemysłu Lotniczego miała to być praktyka menadżerska na 2-3 lata. Tak więc w 1978 roku zostałem dyrektorem technicznym sławnego Szybowcowego Zakładu Doświadczalnego i ironia losu sprawiła, że w całym już teraz prawie osiemdziesięcioletnim życiu okres bielski będzie dominujący. Wspólnie z moim nowym szefem dyrektorem Kazimierzem Jasińskim staraliśmy się dostosować Zakład do nowych nadchodzących czasów. Zdawaliśmy sobie bowiem sprawę, że formuła, którą ustanowił nasz dyrektor ekonomiczny w Zjednoczeniu już się niedługo skończy.

A formuła ta sprowadzała się do tego, że nasz zakład produkujący znane w świecie szybowce jest traktowany w zjednoczeniu jako „kwiatek do kożucha”. Nie, nie w tym ujemnym w treści względzie. Produkcja szybowców traktowana była jako promocja polskiej myśli technicznej. Te zwycięstwa polskich pilotów na międzynarodowych zawodach na polskich szybowcach, te wystawy, na których prezentowaliśmy szybowce uznawane za najlepsze, czy jedno z najlepszych na świecie. Wszystko to stanowiło o tym, że Bielsko stało się w pewnym sensie synonimem szybownictwa i to nie tylko w kraju. Można więc było przyjąć do akceptacji fakt, że całoroczna wartość sprzedaży SZD stanowiła równowartość produkcji jednej zmiany całego zjednoczenia i dodatkowo, że w bilansie rocznym zakładu jedna trzecia całego obrotu stanowiły dotacje w tej czy w innej formie.

Stan ten na dłuższą metę był nie do utrzymania i trzeba go było zmienić. W miarę bezboleśnie. Niestety nam się to nie udało. Nie zdążyliśmy tego zrobić. Gospodarka rynkowa przyszła dla nas zbyt wcześnie i dodatkowo z falą strajków w całym kraju. A co najważniejsze szybownictwo przestało się podobać ludziom. Ludziom na

całym świecie. Dość powiedzieć, że szczytowa produkcja szybowców na świecie w drugiej połowie lat 70-tych prawie osiągnęła 5 000 egzemplarzy na rok, zaś po kilku latach, tak gdzieś w połowie lat 80-tych nie przekroczyła dwustu kilkudziesięciu sztuk i utrzymuje się (a nawet spada) do dziś. Dla mnie efektem tego było to, że przez krótki czas zostałem bezrobotny. Wracać do zawodu pilota? W tym przejściowym okresie zmieniłem trochę zainteresowania inżynierskie i popracowałem (tak gdzieś półtora roku) w branży motoryzacyjnej, a mianowicie w biurze konstrukcyjnym OBR-u tym razem w Bielsku a potem w firmie polonijnej u Pana Zasady. Nie powiem. Były to nowe doświadczenia zawodowe. Nawet bardzo ciekawe, ale przecież jestem lotnikiem i nawet samodzielna budowa w piwnicy mojego domu samolotu amatorskiego nie zaspakaja moich zainteresowań. Samolot zbudowałem i w majestacie prawa samodzielnie go oblatywałem. Lecz to, nie było to. Potrzebowałem m.in. nowego wyzwania, a w owym czasie premier naszego rządu Pan Mieczysław Rakowski ogłosił, że co nie jest zabronione to jest możliwe. A może by tak stworzyć pierwszą po wojnie w Polsce prywatną firmę lotniczą? Tak więc stałem się rzemieślnikiem, gdyż w takiej formule mogłem to uczynić w roku pańskim 1986. Zacząłem sam z jednym, a potem z dwoma pomocnikami w wynajętych pomieszczeniach zaplecza technicznego w szkole szybowcowej „Żar”. Początkowo zajmowaliśmy się przeglądami szybowców, później w ramach zdobywania doświadczeń i uprawnień nadawanych przez nadzór lotniczy ich remontami i modyfikacjami. Początki od strony materialnej były bardzo, bardzo skromne. Ale były i rozwijały się zarówno pod względem ilości zatrudnionych pracowników, jak i ich kwalifikacji zarówno tych faktycznych jak i formalnych. Podejmowaliśmy się głównie remontów powypadkowych, tych których nie za bardzo chcieli się zajmować koledzy z zakładów remontowych Aeroklubu Polskiego w Krośnie. W pewnym okresie naszą specjalizacją było stworzenie całkowicie sprawnego szybowca z dwóch, czy trzech zniszczonych

w wypadkach. W tym też okresie przygodą pod względem inżynierskim i poznawczym była współpraca z Muzeum Lotnictwa w Krakowie. Naprawdę bardzo ciepłą współpracę wspominamy.

W zamierzeniu jednak ten etap, nazwijmy to „remontowy” był wstępem do czegoś więcej. Do tworzenia własnych konstrukcji. Zaczęło się od kontaktów z kolegami pilotami, którzy odkurzyli stojące w kącie hangarów akrobacyjne szybowce „Kobuz” i po kolejnych mistrzostwach świata okazało się, że są oni w tym Świecie najlepszymi. Ich szybowce (te „Kobuzy”) nie były jednak pierwszej młodości i trzeba dla naszych wyczynowców stworzyć nowy szybowiec. Początkowo myśleliśmy, że taki szybowiec stworzymy wspólnie z Aeroklubem Polskim w ramach dotacji z Komitetu Badań Naukowych gdyż właśnie ruszyły w naszym kraju programy wspierające tego typu działalność. No, nie wyszło, ale koledy szybownicy znaleźli za granicą sponsorów gotowych swe pieniądze na ren cel zaryzykować. Powstała więc szwajcarsko-polska spółka

„Swift” której celem było, aby na Mistrzostwa Świata mające odbyć się za 14 miesięcy w Polsce w Zielonej Gorze wystawić nowy szybowiec i na tym szybowcu nasi najlepsi przecież piloci mają zwyciężyć.

I wiecie co? Udało się. Na te mistrzostwa wystawiliśmy nie jeden, ale dwa szybowce na których czterech nasi piloci zdobyli cztery pierwsze miejsca. Dla uzyskania tego musieliśmy przerwać prace nad samolotem „Gniady”, który został w końcu zrealizowany w firmie „Yalo” oraz nad rozwojem samolotu amatorskiego „Kasia” (tego z piwnicy).

Sukces na mistrzostwach „Swifta” zaowocował oczywiście zamówieniami na następne egzemplarze, zaś dla nas mozolna praca nad wdrożeniem do produkcji seryjnej, a co ważniejsze i chyba trudniejsze, przeprowadzenie szczegółowych prób i uzyskania certyfikatu na jego produkcję.

Gdy uporał się z nawałem pracy związanej z wyprodukowaniem pierwszej dziesiątki „Swiftów”, z inicjatywy dwóch moich przyjaciół, kapitanów z „Lotu” oraz znakomi-

tych szybowników utworzyliśmy spółkę MDM której celem było opracowanie dwumiejscowego szybowca akrobacyjnego. Wynikało to z przekonania, że taki szybowiec może być bardziej wszechstronny i w związku z tym znajdzie więcej nabywców niż jednomiejscowy „Swift”. Taki szybowiec o nazwie „Fox” zaprojektowaliśmy i wykonaliśmy prototyp w ciągu 9-ciu miesięcy i niedługo potem zaprezentowaliśmy na kolejnych Mistrzostwach Świata. Szybowiec zrobił furorę za sprawą kolejnego tytułu Mistrza Świata uzyskanego na nim przez niezawodnego supermistrza Jurka Makulę. O sukcesie tych szybowców świadczy fakt, że po 4-5 latach od oblotu pierwszego z nich stanowiły one większość szybowców startujących na prestiżowych zawodach międzynarodowych. Nie dość na tym. Po następnych kilku latach stanowią one do dziś właściwie monotyp szybowców na zawodach międzynarodowych i licznych pokazach. Dla nas niezależnie od tego był wymiar materialny tego sukcesu. Nie dość, że bilans końcowy



PORTRET „MAŁGOSI” Z 80 KONNYM „ROTAXEM”.



PIERWSZA „ORKA” NA PIKNIKU W MUZEUM LOTNICTWA W KRAKOWIE. ZA STERAMI WIESIU CENA.



KOLEJNA SCENA Z INNYCH POKAZÓW. TYM RAZEM ZA STERAMI SIEDZI E. M.



JEDEN Z PROTOTYPÓW „ORKI” NA PŁYCNIE LOTNISKA W BIELSKU.

budowy tych szybowców był dla nas i naszych sponsorów pozytywny, to jeszcze mogliśmy zainwestować w rozwój firmy. Wszystko z własnych zapracowanych przez nas środków. W ramach produkcji „Foxów” jeden z egzemplarzy przerobiliśmy na motoszybowiec dodając mu z przodu 80 konny silnik. Z „Małgosią” bo tak nazwałem nasz motoszybowiec spędziłem w powietrzu ponad 200 godzin latając służbowo (lecz również dla osobistej satysfakcji) po całej Polsce, a również nad moim rodzinnym miastem.

Uskrzydleni sukcesami z szybowcami akrobacyjnymi postanowiliśmy zmierzyć się z o wiele ambitniejszym przedsięwzięciem. Zbudujemy nowoczesny samolot odrzutowy dla szkolenia i treningu pilotów wojskowych. Samolot nie taki jaki projektowaliśmy w Mielcu na początku lat 70-tych, lecz taki godny przełomu wieków w którym się wtedy znajdowaliśmy. Od tego czasu w technice i w ogóle w Świecie zaszły kolosalne zmiany. Nie miał to więc być tylko samolot, ale raczej latający symulator, w którym samolot jest tylko

częścią systemu. Aktualny poziom techniki pozwalał w kraju zbudować właściwie cały elektroniczny system symulacji, zaś my podjęliśmy się zbudować platformę, na której będzie on zabudowany. A ta platforma co prawda nie miała w sobie żadnego uzbrojenia i systemów z nim związanych, lecz musiała latać doskonale, aby te systemy symulacji mogły popsuć osiągi i własności pilotażowe dla symulacji prawdziwych zastosowań bojowych. Zastosowań związanych z przenoszeniem i użyciem różnych wariantów uzbrojenia i sytuacji taktycznych. Zwróciliśmy się do Komitetu Badań Naukowych o odpowiednią dotację, zaś w naszym środowisku szukaliśmy sponsorów z odpowiednio zasobnym portfelem aby dołożyli drugą część kosztów, gdyż regulamin wsparcia wymagał 50% wkładu własnego. I udało się. Po niecałych 4-ech latach z lotniska w Mielcu (ach ten Mielec) wzniósł się w powietrze taki samolot. Samolot wykonany z wszystkimi niezbędnymi dla tego rodzaju konstrukcji przepisami, obliczeniami, próbami itp. Samolot wykonany przez mikro-

firmę zatrudniającą niecałe 30 osób i muszącą się zmieścić w budżecie nieco ponad 5 mln. zł. Dlaczego nam się udało? Głównie dlatego, że było to dzieło właściwie całego polskiego środowiska lotniczego. W tym miejscu nie sposób wymienić tych wszystkich osób i instytucji, których w zdecydowanej większości bezinteresowna (i bezpłatna) pomoc w tym przedsięwzięciu umożliwiła nam to. Inna sprawa, że aby tą pomoc użyć trzeba ją było zorganizować, a prosto mówiąc „załatwić”. Bez jednak tej chęci pomocy po prostu nic byśmy nie załatwili. Bardzo, ale to bardzo za to dziękuję. Samolot wykonał pierwszy lot, potem drugi i co? Niestety srogo się zawiedliśmy. Myśleliśmy, że skoro podołaliśmy takim wyzwaniom to będzie ciąg dalszy. Że będziemy w kraju kontynuować tradycję budowy nowych i nowoczesnych samolotów i nasze osiągnięcia wpiszą się w ten porównywalny cel.

Po prawie dwudziestu latach odnowiliśmy „Bielik” bo tak nazwaaliśmy nasz samolot i przekazaliśmy go do Muzeum Lotnictwa w Krako-



„BIELIK” BĘDĄCY SWEGO RODZAJU KONTYNUACJĄ SAMOLOTU M-16 STARTUJE DO PIERWSZEGO LOTU Z PASA NA LOTNISKU W MIELCU.



„BIELIK” W CAŁEJ SWEJ OKAZAŁOŚCI PRZED PRZEKAZANIEM GO DO MUZEUM LOTNICTWA.



„BIELIK” EKSPONOWANY W MUZEUM LOTNICTWA W KRAKOWIE W TOWARZYSTWIE „MAŁGOSIA II”.



DOŚWIADCZALNA „MAŁGOSIA II” NA ZIEMI.

wie gdzie stoi w głównym budynku na eksponowanym miejscu jako trzeci odrzutowiec skonstruowany w Polsce.

Niestety. Spadliśmy z wysokiego konia i trzeba było się zająć czymś może nie tak ambitnym, ale możliwym do realizacji w małej prywatnej firmie w tym kraju o nazwie Polska.

Wybór padł na samolot co prawda nie odrzutowy, lecz jednak dwusilnikowy. W owym czasie w konstrukcji 4-6 miejscowych samolotów dyspozycyjnych zaczęto powszechnie stosować kompozyty. Dotyczyło to głównie samolotów jednosilnikowych, zaś dwusilnikowy był właściwie jeden, czyli austriacki „Twinstar”, który właśnie wchodził do produkcji. Mając już spore doświadczenie w projektowaniu struktur kompozytowych, czyli inaczej laminatowych postanowiliśmy wkroczyć na ten segment rynku. Zdając sobie sprawę, że jest to trudny rynek i zdominowany przez firmy z wieloletnim doświadczeniem i nieporównywalnymi z nami zasobami postanowiliśmy zbudować naszą „latającą limuzynę” najpierw w kategorii „Experimental”, czyli takiej raczej doświadczalnej do prywatnego użytku. Zakładając, że wersję docelową spełniającą wszelkie wymogi samolotu do zarobkowego przewozu pasażerów opracujemy później. Decyzja ta spotkała się w czasie z przekształceniem własnościowym w naszej firmie, która po wejściu do niej Pana inżyniera Włodzimierza Mysłowskiego nosi nazwę: Zakłady Lotnicze Margański i Mysłowski. Wejście nowego współnika ze swoim kapitałem i zapleczem w postaci konglomeratu innych firm zmieniło w znaczny sposób działania naszej firmy i mimo dużego skomplikowania naszego samolotu udało się go skonstruować i wykonać prototyp w ciągu około roku. Próby w locie wykonywane, jakżeby inaczej niż w Mielcu, przez mojego przyjaciela Wiesia Cenę przebiegły nadzwyczaj pomyślnie i równolegle z prezentacją nowego samolotu na różnych pokazach i imprezach i przed licznymi potencjalnymi nabywcami rozpoczęliśmy prace nad wersją seryjną. Różniła się od pierwowzoru demonstracyjnego zastosowaniem w pełni wypróbowanych i certyfiko-

wanych silników, chowanym podwoziem i zdecydowanie rozbudowanym wyposażeniem nawigacyjnym i eksploatacyjnym. Powstawał więc samolot przewyższający dotychczas używane samoloty przede wszystkim pod względem walorów eksploatacyjnych co w większości zademonstrowaliśmy na latającym już egzemplarzu. Ten egzemplarz „Orki” (tak nazwaliśmy nowy samolot) poza czynieniem promocji służył nam przez wiele lat jako samolot firmy do załatwiania rozlicznych zagadnień. Wykonaliśmy kolejne prototypy już w docelowej wersji, przeprowadziliśmy rozliczne badania (w tym oczywiście na lotnisku w Mielcu) i w wyniku tego uzyskaliśmy certyfikat europejskiej agencji (EASA) na wprowadzenie na rynek nowego komercyjnego samolotu. Wydawało się, że wszystko idzie w najlepszym kierunku, a szczególnie po fecie w Pekinie, gdzie w obecności prezydenta Komorowskiego i premiera Chin podpisaliśmy wstępną umowę na dostawy, a potem produkcję naszego samolotu w tym kraju. Pech jednak nas dosięgnął. Nic z tego nie wyszło. Nie osiągnęliśmy sukcesu na miarę międzynarodową. No i w tym miejscu nie warto roztrząsać powodów dlaczego tak się stało.

Czas jednak płynął i należało spotkać się z rzeczywistością, czyli z przejściem na emeryturę. Przeszedłem więc z pewnym opóźnieniem na wspomnianą i żeby nie było to dla mnie szokiem postanowiłem urzeczywistnić w realu jeden z moich patentów. Przez ponad trzy lata urzeczywistniałem w kompozycie nową wersję samolotu doświadczalnego z przednim usterzeniem.

Dla urealnienia tego zamierzenia wykorzystałem zespół ze wspomnianej wyżej „Małgosi”. Niestety „Małgosia” musiała przestać istnieć i odrodzić się w postaci „Małgosi II”. A dlaczego właśnie „Małgosia” a kilkanaście lat przedtem „Kasia”? Są to imiona moich córek. Starsza z nich, czyli Małgosia kultywowała rozwój genów po dziadku i na szybowcach zbudowanych przez ojca zdobywała liczne medale na różnych zawodach w akrobacji szybowcowej, a w tym o randze Mistrzostw Świata, czy Europy. Wracając jednak do „Małgosi II”. Samolot po próbach w locie, które potwierdziły przyjęte założenia, został przebazowany powietrzem do Bielska, a stamtąd po kilku latach niestety już drogą lądową znalazł się w Krakowie i stoi obok „Bielika” w Muzeum Lotnictwa. Czy nowe wypróbowane na tym samolocie rozwiązania znajdą zastosowania w lotnictwie? Być może.

A dzisiaj? Co robi prawie osiemdziesięcioletni emeryt? Generalnie to co inni emeryci. No może z poprawką, że aby całkiem nie zardzewieć czasami napisze jakiś artykuł, czy referat. A nawet czasem konsultuje swoje, lub cudze pomysły realizowane przez młodsze pokolenie. Przykładem tego jest pomysł na samolot dostawczy o napędzie hybrydowym realizowanym na razie w formie modelu przez mojego przyjaciela Józefa Grzybowskiego z Politechniki Rzeszowskiej. Należy tu wyjaśnić, że Rzeszów to takie wojewódzkie miasto pod Kolbuszową. I niech to będzie mój żartobliwy w formie hołd złożony miejscu skąd pochodzę.



Z TADZIEM SZNUKIEM NA LOTNISKU W LESZNIIE.

Adam Jan Skowroński

Kolbuszowscy meblarze artyści

Wbrew opinii doc. Franciszka Kotuli, że „źródła nie znają nazwisk kolbuszowskich stolarzy”, w przeciwieństwie do Sokołowa i jego akademickim polemikom z dr Kazimierzem Skowrońskim w latach sześćdziesiątych XX wieku można stwierdzić, że w latach 1640 – 1690, jeszcze we wsi Kolbuszowa, (Górna i Dolna): „Stolarzów było wielu, warto ich wymienić Stanisław i Łukasz (r. 1640 i 43), Wojciech, syn Stanisława Stolarczyka (1657), Wojciech Stolarz (1664) i Wawrzyniec (1690), którzy zdobią tutejszy sławny pałac „na Kanale” i kościół w „meble”, „tła”, „tafle”: - posadzki, sufity i boazerie wraz z Benedyktem Sztukatorem (1675), Stanisławem Złotnikiem Ćwiklińskim w latach 1683/9, Tomaszem Ślusarzem (te same lata) i Sebastianem Snycerzem /Sincerz w roku 1668, z synem Stanisławem Snycerczykiem, Stolarz /- rzyk i Tokarz 1683 i 9”. Nazwiska te wywodzą się z rzemiosła jakie uprawiali, czyli jakieś prapoczątki meblarstwa kolbuszowskiego, choć nie tego, o którym niżej będzie mowa.

Z „rachunków z arendy klucza kolbuszowskiego” (1677-1689), tego okresu wynika, że dwór (określany jako rezydencja lub pałac) wypłacał znaczne kwoty kolbuszowskim rzemieślnikom za różne prace, na przykład: stolarzowi „od roboty stołów i zydlów do rezydencji pańskiej” lub „do kolbuszowskiego pałacu”, „od naprawy stołów i stołków w pałacu”, „od roboty okiennic i odrzwia do pałacu”; ślusarzowi „od roboty pałacowej”; zegarmistrzowi kolbuszowskiemu „od roboty na pałac”. Co stanowiło o rozwoju kolbuszowskiego rzemiosła. Kolbuszowa kwitła wówczas i rozwijało się rzemiosło, w tym meblarstwo kolbuszowskie.

Warto jednak zastanowić się skąd się wzięli rzemieślnicy w Kolbuszowej? W sąsiednim Rzeszowie lata 1589–1634 mamy szybki rozwój

produkcji rzemieślniczej, prowadzonej zarówno w tradycyjnych branżach, jak i nowych specjalnościach, organizowanych w nowe cechy. Właściciel miasta gwarantował im prawo wyłączności produkcji i zbytu na terenie swojego rozległego dominium. Organizacja samorządu miejskiego w tym okresie nie zmieniła się istotnie, a z Rzeszowem związana była Izba w Mielcu, gdzie niekiedy kierowano na nauki Kolbuszowian.

W XVII wieku (1600-1700) wzniesiono w Rzeszowie konwent dla bernardynek, do którego wprowadzili się pijarzy. Dla nich, w latach 1703-1707 Tylman z Gameren, sławny architekt zaprojektował kompleks budynków (na przestrzeni 180 m fasady), obejmujący: szkołę, kościół i klasztor (dziś: tzw. kompleks popijarski, ul. 3-go Maja). W pracach budowlanych i wykończeniowych uczestniczyli znakomici artyści epoki: J. C. Falconi i J. S. Belotti.

W tym czasie w pobliskiej Kolbuszowej od pałacu zwanego zamkiem zaczyna się kolbuszowskie stolarstwo, kiedy to Józef Karol Lubomirski przejął Kolbuszową w 1676 roku i ożenił się z Teofilą Ludwiką Zasławską-Ostrogoską, siostrzenicą króla Jana III Sobieskiego. Był on wówczas koniuszym koronnym, marszałkiem nadwornym koronnym, a w styczniu 1702 roku otrzymał tytuł marszałka wielkiego koronnego. Jego staraniem, pod kierunkiem najwybitniejszego wówczas architekta w Polsce, Tylmana z Gameren, pałac kolbuszowski został gruntownie przebudowany i zmodernizowany. Był to obiekt drewniany i otynkowany, dwupiętrowy „o nietypowych rozwiązaniach”. Wzbudzał od samego początku ogólny podziw. Ponadto Józef Karol wydał 12 stycznia 1700 roku dokument uważany za akt lokacyjny prywatnego miasta, w którym sprecyzował prawa i obowiązki mieszczan. Kolbuszowskie rzemio-

stwo nieco podupadło po 1769 roku, kiedy w walkach z konfederatami barskimi zburzono tutejszy zamek.

Józef Karol Lubomirski był dobrym gospodarzem, interesował się gospodarczą sytuacją swoich posiadłości, dbał o ich rozwój i przyszość. Dzięki niemu i jego protektorowi - Janowi III Sobieskiemu mogło zaistnieć i rozwijać się meblarstwo kolbuszowskie i tak samo słynne posadzki-mozaiki dębowe. Zaczęło się od rozbudowy rezydencji rodowych, których wnętrza wypadało „upiększyć” taflowymi posadzkami i wypełnić modnymi wówczas meblami fornirowanymi. Dzięki nim był zbyt na te wyroby, eksportowane na całą Rzeczpospolitą.

Dobra Józefa Karola Lubomirskiego odziedziczył w 1702 r. jego dziewięcioletni syn, a rolę zarządcy pełniła jego matka Teofila Ludwika z Zasławskich-Ostrogoska (do 1709 roku). Aleksander Dominik przejął miasto dopiero 13 czerwca 1713 roku, potwierdzając dokument ojca z 1700 roku. Przy tej okazji zniósł ograniczenia dotyczące liczby Żydów i posiadania przez nich domów w mieście. Nastąpił wówczas bardzo szybki napływ ludności żydowskiej, przede wszystkim rzemieślników i kupców, przynosząc miastu duże ożywienie gospodarcze. Aleksander Dominik, starosta sandomierski i ordynat ostrogski, zmarł w 1720 roku w kawalerskim stanie. Kolbuszową i całą fortunę Lubomirskich, obciążoną już wtedy sporymi długami przejęła jego siostra Marianna (1693 - 1729), żona Pawła Karola Sanguszki (1680 - 1750).

Paweł Karol i Marianna z Lubomirskich mieli syna Janusza Aleksandra (1712 - 1775), dziedziczącego po śmierci matki (zmarła w Kolbuszowej 12 stycznia 1729 roku) całe jej wiano i ordynację ostrogską. Dobrami zarządzał przez pewien czas ojciec, który 12 grudnia 1738 roku zawarł z synem Januszem umowę, przeka-

zując mu administrację ordynacji, jako rekompensatę za poniesione w utrzymaniu ordynacji starania i koszty, syn natomiast, zrzekł się na rzecz ojca wszelkich praw własności dotyczących Kolbuszowej.

Kolbuszowa zdobyła wówczas sławę i znaczenie, jako jeden z czołowych ośrodków meblarskich w kraju. Meble wykonywane przez tutejszych stolarzy należały wówczas do najbardziej cenionych i poszukiwanych. Powszechność ich potwierdzają nie tylko źródła historyczne i wzmianki w pamiętnikach współczesnych kronikarzy, ale i wiele dokumentów spadkowych.

Sanguszkowie rezydowali głównie w Kolbuszowej, co pozwalało im doglądać swoich dóbr, a pałac kolbuszowski, choć niezbyt duży, był godną siedzibą magnacką. Paweł Karol Sanguszko był nie tylko zapobiegliwym gospodarzem, ale również wielkim miłośnikiem przepięknych pałaców i ogrodów co uwidoczniło się też w kolbuszowskiej rezydencji. Lata te, to szczytowy okres rozwoju miasta i rzemiosła. Na prośbę rzemieślników kolbuszowskich „iż pokorną wnieśli suplikę do nas magistrowie rzemiosła stolarskiego, tokarskiego, stelmaskiego, kołodziejskiego, kowalskiego i ślusarskiego.” Marianna i Paweł Karol Sanguszkowie wydali 16 czerwca 1724 roku przywilej cechowy, zezwalając im według niego

organizować się i sądzić. Mieli oni też prawo, w sprawach trudnych, odwoływania się do „sądu radzieckiego burmistrzowskiego w Opatowie,” to kolejna przyczyna rozwoju meblarstwa, przez lepszą organizację rzemiosła w tym magnackim mieście. To dla podkreślenia, jak ważny był dla rzemiosła mecenat właścicieli Kolbuszowej.

Może z tego powodu meble tu wyrabiane nie były pierwsze lepsze i nie dla wszystkich, głównie dla magnaterii i ich rezydencji. Ewentualnie dla dworów szlacheckich. Mieszczanie i chłopcy bardziej potrzebowali kołysek, trumien i instrumentów smyczkowych. Bez tych pierwszych, nikt się przecież nie mógł obejść, a i skrzypki i inne instrumenty wykonane przez lutników na weselach się przydawały, niektóre do dziś jeszcze grają, a skrzynie posażne też pięknie zdobiono i w posagu wręczano. Beczki, szafliki, kolaski i sanie też tu wykonywano.

Kolbuszowskie meble wyrabiane od 2 połowy XVII wieku do 2 połowy XIX wieku głównie dla dworów, pałaców i zamków były to meble skrzyniowe: biurka, kantorki, komody, kredensy, sekretery, praski, szafy, rzadziej szkieletowe kanapy, stoły i krzesła. Początkowo XVIII w. klasycystyczne, a w pierwszej połowie XIX w. zbliżone do biedermeieru. Były starannie wykonane i fornirowane szlachetnymi gatunkami drewna

(*orzech, cis, czeczotka*) oraz bogato intarsjowano (*jesionem, jaworem, wiśnią, czarnym dębem, jabłonią, śliwą itp.*), w które to drzewa obfitowała Kotlina Sandomierska. Zdobiono je motywami geometrycznymi: ramki, gwiazdy, kwiaty, a także ornamentyką wstęgowo-ceglową, geometryczną i figuralną (meandry, szachownice), roślinami (*tulipany, heraldycznymi, a nawet figuralnymi*), rzadko stosowano okucia, na przykład do kufrów podróżnych, co wymagało udziału ślusarzy i kowali. W Kolbuszowej produkowano też mozaikowe parkiety, wszystkie te dzieła mistrzów z Kolbuszowej do dziś można spotkać w pałacach i na zamkach w Polsce.

Kolbuszowskie meble, słynne były w całej Rzeczpospolitej, tak napisał o nich Edward Kuropatnicki w swej „Geografii albo opisanii Królestw Galicji i Lodomerii”, wydanej w Przemyślu w 1786 roku. W której czytamy: *Nie ma praktyczniej w Polsce XVIII w. pałacu magnackiego i biskupiego, dworku szlacheckiego (mieszkania zamożniejszego mieszczańska), w którym nie byłyby wymieniane meble kolbuszowskie.* Jednak tych początków kolbuszowskiego rzemiosła nie sposób pominąć, a wiemy o tym wiele.

Niestety o wytwórcach mebli wiemy mniej, szczególnie o pierwszych rzemieślnikach. Wyjątek stanowi list Franciszka Włodkowica, do

Tabela 1

Lp.	Imię	Nazwisko	Opis
1.	Kacper	z Weryni	W 1584 roku otrzymał tam prawo miejskie
2.	Błażej	Winiarski	szewc
3.		Chodorowski (Hodorowski)	szewc
4.		Cichoń	stolarz z Kolbuszowej (Cichoń i Jędrzej Baranów 1725)
5.		Funk	stolarz z Kolbuszowej
6.	Stanisław	Grodzki	1604 r.
7.	Michał	Kolisz (Kolis; starszy?)	stolarz z Niwisk 1678 r.
8.	Franciszek	Kolisz (Kolis; starszy?)	stolarz z Niwisk 1578 r.
9.	Jan	Kolisz (Kolis młodszy?)	stolarz z Niwisk 1682 r. i 1742 r. Byli też Piotr i Stanisław Kolisze
10.	Albert	Kozioł z Weryni	stolarz z Weryni 1608
11.		Niewęglowski	stolarz z Kolbuszowej
12.	Szymon	Pomorski	ślusarz i rusznikarze + Jędrzej, Michał i Matiasz oraz kowal Jorga
13.	Krzysztof	Procykowicz	stolarz z Kolbuszowej 1645 r.
14.	Franciszek	Skowroński	stolarz z Kolbuszowej 1678 r.
15.	Franciszek	Turek	stolarz z Kolbuszowej (1742) Początek XIX w. Jan Turek
16.		Wierzbicki	komisarz policji 1726
17.	Franciszek	Zaorlicz	1672 r.

Pawła Sanguszki z 28 marca 1737 roku. List ten odnalazła w Archiwum we Wrocławiu kuzynka mojej matki Halina Dudzińska i Skowrońskich z drzewa burmistrzów. Jego zawartość obrazuje Tabela 1.

Brakuje jednak w tym dokumencie wielu imion rzemieślników, dat urodzenia i śmierci, powiązań rodzinnych, bo często meblarzami byli rzemieślnicy i ich synowie. Często posługiwano się w dokumentach samym imieniem, niekiedy nazwiskiem, a do tego imiona w rodzinach się powtarzały. Na przykład jednym z pierwszych stolarzy kolbuszowskich był Franciszek Skowroński ur. w 1700 roku, który poślubił w 1725 roku Mariannę Tokarz i stolarzem był też jego syn Franciszek Skowroński ur. 1726 roku, który w 1749 roku poślubił Jadwigę Tylko.

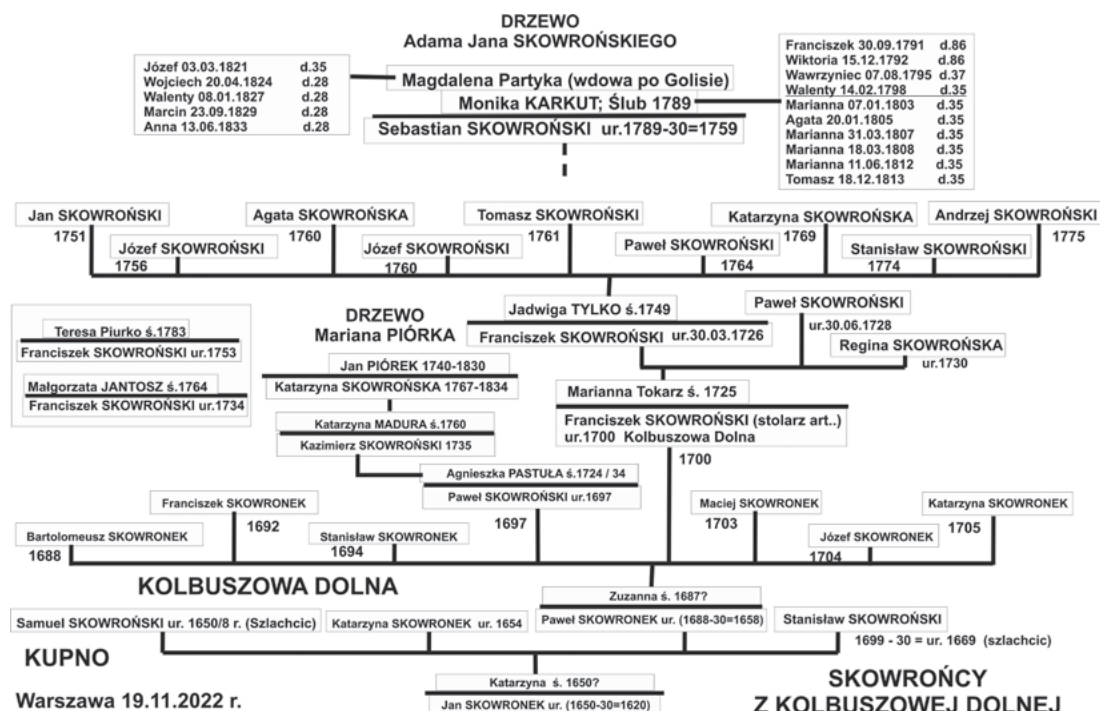
Podtrzymywali oni rodzinną tradycję nadawania synom imienia Franciszek i kontynuację zawodu stolarskiego. Imię to podtrzymywane było jako drugie w kolejnych pokoleniach. Wiem o tym, bo to moja Rodzina. Wśród nazwisk w tabeli 1 odnalazłem też kuzynów mojej matki Anny z domu Winiarskiej, co potwierdzają drzewa Winiarskich opracowane przez jej kuzyna Zbigniewa Winiarskiego. Załączone drzewa genealogiczne potwierdzają liczne rodzinne związki stolarzy i innych rzemieślników w Kolbuszowej...

Meblarze kolbuszowscy wymienieni w tabeli przynosili chlębę miastu i wielu z nich wywodziło się z kolbuszowskich „*pnioków*” i „*krzoków*”. Dodać warto, że fach stolarski głównie był przekazywany rodzinie (synom), a najzdolniejszych czeladników wiązano z rodziną stolarską przez ożenek z córkami majstrów, co widoczne jest na załączonych drzewach. Dostrzec to można na drzewach genealogicznych Skowrońskich, Winiarskich i Mazurkiewiczów, z których wywodzą się ostatni z największych meblarzy Wiktor Mazurkiewicz i Aleksander Winiarski i ich uczniowie.

Wielu zdolnych stolarzy i cieśli opuściło Kolbuszową, także tę na „zagaciu i z chałupek”, przed którymi rozlewało się kiedyś ogromne Morze Czerwone, dawne jezioro Gat przemianowane tak ponoć przez Sanguszkę. Żegnali pełne kwiatów i drzew miasteczko nad Nilem, podobne do oazy pełnej życia. Niektórzy z nich nawet dorobili się w Ameryce i innych krajach na swoim rzemiośle. W Kolbuszowej zostali tylko nieliczni, a wśród nich Augustynowicze, Hryńko, Mazurkiewicz, Leśniowscy, Dulscy, Winiarscy i Skowrońscy, stolarze ci obok mebli, robili wówczas stolarkę budowlaną, rami do obrazów, a nawet trochę nart. Czyli nazwiska stolarzy kolbuszowskich są mi znane.

Wiem, że mój dziadek Michał Skowroński mieszkając już w „chałupkach” miał warsztat stolarski (identyczny jak Wiktora Mazurkiewicza) i zajmował się produkcją rzeźbionych ram do obrazów oraz mebli. Widziałem jego roboty komodę, stół dębowy i magiel, wiele rzeźbionych ram do obrazów. Dodam, że meblarstwo było zawodem rodzinnym. Mój ojciec choć miał na drugie Franciszek nie parął się już stolarką. Za to mąż jego siostry Broni Joachim Wyciślik i ich synowie i wnukowie mieli i mają jeszcze duże warsztaty meblarskie w Rudzie Śląskiej. Jej wnuka Michała Wyciślika staram się namówić na reprodukcję mebli kolbuszowskich – może się mi uda!

W 1804 roku Kolbuszowa była jeszcze miastem rękodzielniczym, w którym wielu mieszkańców było stolarzami wykonującymi skrzynie, stoły, stoliki, łóżka i meble. Rozwój wstrzymywały odcięcie granicami Galicji od reszty Polski i napływająca z Wiednia tandeta fabryczna. Brakowało tu nie tylko kolei na kierunku Rzeszów, Lwów, Kraków, ale i dróg bitych ułatwiających transport. Puszcza Sandomierska wprawdzie dostarczała drewna, ale blokowała wywóz zrobionych z niego mebli. Brak odbiorców zupełnie obezwładnił kolbuszowską sztukę, której dzieła skupione za bezcen do Wiednia, Drezna, Pesztu, dały wzór i począ-



tek stylowi „*Maria Therersiamobel*” i mebli Biedermeiera.

Po próbach ratunku przez mecenat Wincentego Tyszkiewicza (komplet turyńskich mebli – dzieło stolarza Jana Turka, Jana, Aleksandra i Władysława Mazurkiewiczów) z pocz. XIX wieku, na wystawie we Włoszech 1820 roku. Wyprawach handlowych do Krakowa i Warszawy z „*kolbuszowskim towarem*”, już raczej drobnica i konfiskata tegoż przez stolarzy tych stolic „*za konkurencje*” oraz załamanie się popytu na drogie meble, kolbuszowskie meblarstwo zamiera po 1840 roku. Ostatnim wysiłkiem obdarzwszy jeszcze pałace i dwory Galicji: Łańcut, Przeclaw, Rzemień, Rzeszów w słynne, mozaikowe, artystyczne posiadzki.

Wśród stolarzy meblarzy byli też tokarze tocący nóżki do mebli, figury szachowe, warcaby, wykonujący prześcianki i wrzeczona „*kolbuszowskiej roboty*”, o których są wzmianki w registrach domów szlacheckich. W Kolbuszowej wykonywano też guzy do żupanów sukiennych karmazynowych w formie głogu lub krwawnika.

Meblarzem artystą z Kolbuszowej moim stryjczym dziadkiem był Aleksander Winiarski (grób B1/9/7), urodził się 15.07.1869 roku, zmarł 5.07.1965 roku w Kolbuszowej s. Julii Mazurkiewicz i Walentego Winiarskiego. Ukończył 4 klasy szkoły podstawowej w Kolbuszowej. Uczył się następnie zawodu stolarskiego u brata matki, Władysława Mazurkiewicza, który wykonywał liczne

prace dla dworu hrabiego Tyszkiewicza w Weryni. Po wyzwoleniu na czeladnika, pracował początkowo w warsztatach stolarskich w Mielcu i we Lwowie.

Pierwszą jego żoną była Franciszka Marcinkowska (siostra mojej babci Julii), ślub wzięli 9 stycznia 1901 roku. Franciszka chorowała na gruźlicę, dobrze im się wiodło, pracował wtedy jako poborca podatkowy (biuro miał przy ul. Piekarskiej), część pieniędzy lokował w obligacjach i udzielał pożyczek znajomym. Na leczenie żony jeździli za granicę do rumuńskich uzdrowisk, niestety nie pomogło, Franciszka 31 grudnia 1910 roku zmarła na gruźlicę.

Wyjechał wówczas do Austrii, gdzie pracował przez kilka lat, poznając język. W czasie I wojny światowej służył w armii austriackiej, a od 1918 roku w odrodzonym wojsku polskim. W czasie działań wojennych walczył razem z Andrzejem Pipałą, któremu pisał listy do domu (Pipała był niepiśmienny). Kiedy po wojnie odwiedził go w Czarnej Sędziszowskiej - poznał swą drugą żonę. W 1919 roku, w Czarnej Sędziszowskiej ożenił się z Marią Pipałą, siostrą Andrzeja. W żadnym z małżeństw nie doczekał się potomstwa.

W czasie kryzysu 1923 roku stracił wszystkie zasoby finansowe na giełdzie i rozpoczął nowe życie - jako rzemieślnik i cechmistrz. W młodości należał do Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” i do bractwa przykościelnego. Cechowała go niezwykła pobożność - systematycznie uczęszczał do kościoła i na odpusty, szczególnie w Cmolasie. W czasie II wojny światowej - dzięki dobrej znajomości języka niemieckiego - uratował Nowe Miasto

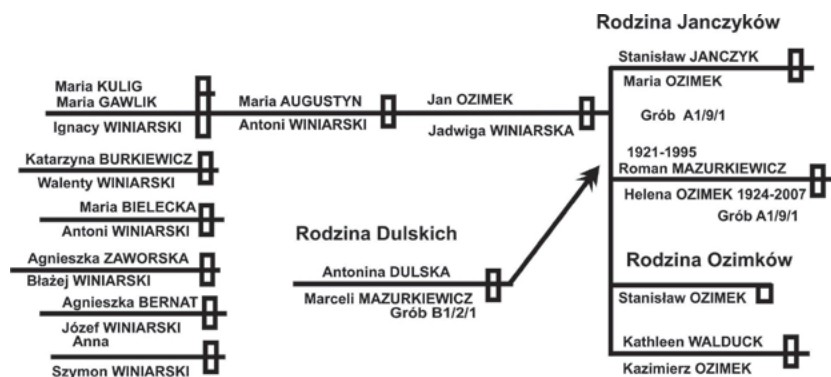
przed spaleniem przez Niemców. Udał się do nich do Nowej Wsi, skąd ostrzeliwali z moździerzy Kolbuszową, podając się za niemieckiego osadnika przekazał im informację, że w ostrzeliwanym z moździerzy rejonie Nowego Miasta mieszkają niemieccy osadnicy, których reprezentuje i uprosił ochronę swojego dobytku. Ocalili wszyscy.

W Kolbuszowej był cechmistrzem: Cechu Stolarzy, Tokarzy, Kowali i Ślusarzy, połączonych później z Cechem Szewskim i Cechem Masarzy w Cech Rzemiosł Różnych. Niestety nie wiem, kto razem z nim spoczywa w jego grobie, podaję w związku z tym także dane jego żon: Franciszka Marcinkowska ur. 17.01.1876 roku w Kolbuszowej Dolnej, zmarła 31.12.1910 roku w Kolbuszowej, c. Marii Szorc i Jana Marcinkowskiego (siostra mojej babci ze strony Winiarskich). Maria Pipała ur. 30.08.1894 roku w Czarnej Sędziszowskiej, zmarła 10.12.1990 roku w Kolbuszowej. Mam nadzieję, że to wystarczające dane, aby miejsce ich pochówku znaleźć i należycie oznaczyć, przynajmniej w wirtualnej wersji cmentarza w Kolbuszowej.

Tak wspomina go mój krewniak Jerzy Golis, który mieszkał obok jego domu: „*jak byłem mały, to już nie robił swoich pięknych mebli, pamiętam, że chętnie robił mi listewki na moje latawce, takich listewek już później nigdy nie miałem, cienkie, lekkie i niezwykle wytrzymałe - artyzm. Miałem najwspanialsze latawce w całym Nowym Mieście, które na łąkach kiedyś należących do Winiarskich puszczałem. To był niezwykle pobożny człowiek, od trzeciej rano się modlił, a o szóstej do kościoła na poranną mszę – rytuał. Zrobił sobie*



ALEKSANDER WINIARSKI



WARSZAWA 19.11.2020

**RODY KOLBUSZOWSKIE
SPOKREWNIONE PRZEZ MAZURKIEWICZÓW**

dość wcześniej trumnę z setek kawałków drzewa, było to kwintesencją rzemieślniczej sztuki, jaką uprawiał. Tak szykował się do wieczystej drogi przez 30 lat, swą trumnę wciąż konserwując, zawsze na wiosnę, wówczas oglądaliśmy to jego dzieło, które zdumiewało sąsiadów i mnie także."

Był to przez wszystkich lubiany człowiek, może by żył i ponad setkę, ale wykończył go kryzys na giełdzie i strata tego, co wcześniej z trudem się dorobił. Warszawa nie była dla niego łaskawa, skąpiła pieniędzy na jego przepiękne dzieła i zabrała to, co zaoszczędził - można się było załamać. Przypisać muszę, że jeżeli w swoim wieku odważył się na takie giełdowe ryzyko, to był odważnym i nowoczesnie myślącym człowiekiem i takim Go znaleźliśmy.

Tak o nim napisała w swych pamiętnikach Zdzisława Bytnar (mająca rodzinne powiązania ze Skowrońskimi i Winiarskimi przez Markusiewiczów) o Aleksandrze Winiarskim i Nowym Mieście: „Za Gawronami (Stanisławem i Anastazją z Winiarskich) była posesja Aleksandra Winiarskiego, stolarza zwanego Ksandziem, albo, po ojcu – Walciem. Był bowiem synem Walentego Winiarskiego i Julii z Mazurkiewiczów. Mazurkiewiczowie i tenże Walenty Winiarski byli stolarzami – artystami.

Znali i wykonywali sztukę intarsji, pięknego ozdabiania mebli mozaikowymi wzorami z kawałeczków różnokolorowego drewna. Meble kolbuszowskie słynne były w XVII i XVIII i jeszcze w XIX wieku na wszystkich ziemiach polskich i poza nimi. Parę ich sztuk mieli najpierw Lubomirscy, potem Tyszkiewiczowie w kolbuszowskim dworze, a pewnie

i w innych pałacach. Mazurkiewiczowie i Winiarscy robili je, potem konserwowali. Walenty Winiarski mieszkał z rodziną obok miejskiego folwarku Podsobnie, przy obecnej ulicy wiodącej w kierunku Rzeszowa. Może on, a może Ksandziu, kupił sporą parcelę na Nowym Mieście i pewnie Ksandziu wybudował na niej, przy ulicy, trzyizbowy dom. Izby były w amfiladzie, wzdłuż, jedna obok drugiej.

W czasach mojego dzieciństwa Pan Ksandziu mieszkał w dwóch izbach od strony zachodniej. Wchodziło się do nich przez mały przybudowany ganek.

Ojciec jego już nie żył i matka mieszkała na Nowym Mieście, razem z nim. W domu przy ul. Rzeszowskiej pozostało młode rodzeństwo p. Ksandzia (drzewo niżej Bronisław Winiarski z żoną i dziećmi). On mając z sobą Matkę, długo się nie ożenił. Pracował, był bardzo sympatyczny, łagodny, ludzki, pobożny, chodził na wszystkie odpusty do okolicznych miejscowości należał do Bractwa Różańcowego oraz do Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. Miał zdjęcie w mundurze sokolim, tak jak i mój ojciec. Warsztat posiadał wybudowany w podwórku. Okna izb mieszkalnych ozdabiał sobie grupkami wyrzeźbionych ptaszków, kolorowo pomalowanych. My dzieci, podziwialiśmy je. Natomiast mój Ojciec lubił wpadać, wieczorami, zwłaszcza jesiennymi, do warsztatu pana Ksandzia na pogawędkę o polityce i o sprawach miasta. Znajdował tam chwile spokoju od domowego harmidru” (Zdzisława Bytnar, Rocznik Kolbuszowski, nr 5, 2001 rok).

Wiktor Mazurkiewicz – jak napisał Maciej Skowroński, prowadził stolarnię zatrudniającą trzech uczniów jego fachu. Byli to najlepsi uczniowie Mazurkiewicza: najzdolniejszy z nich Jan Kuna, albo „Jasiu”, o którym sam mistrz mówił, że jest już dobrym stolarzem, bo „chłopak spokojny, zdolny, cierpliwy i pracowity”; następnie Józef Plis i Eugeniusz Stobierski, którego czasami zastępował Adam Furmański. To ostatni kolbuszowscy meblarze artyści jakich znam. Tradycje meblarstwa kolbuszowskiego były później wznawiane w charakterze ratowania ginących zawodów i rzemiosł, nie przyniosło to jednak znaczących efektów, nawet z udziałem mistrza Wiktora Mazurkiewicza.

Po roku 1958, kiedy Wiktor Mazurkiewicz miał już ponad 70 lat i był człowiekiem bardzo schorowanym, w jego stolarni wykonywano tylko ponad setkę pięknych furnirowanych i intarsjowanych kasetek „kolbuszowskich” na listy i drobne pamiątki, oprócz tego kilka stolików pod kwiatki. Stolarnia, miała skromne pomieszczenia, lecz to nie było powodem jej zamknięcia, głównie brakowało dobrze wysuszonego drewna, zwłaszcza na furniry i intarsję.

Dla porządku dodam, że mój stryjeczny dziadek Aleksander Winiarski żył dłużej od Wiktora Mazurkiewicza. Później Aleksander, z jakichś powodów zaprzestał rzemiosła. Wykonaniem intarsjowanych mebli zajmowali się tylko Wiktor Mazurkiewicz, a po nim jego uczeń Józef Plis, którzy robili meble dla plebanii i w kościele. Dużą kolekcję od Plisa miał też lekarz Zdzisław



GNIAZDO RODZINNE STOLARZY WINIARSKICH KOŁO GS-U

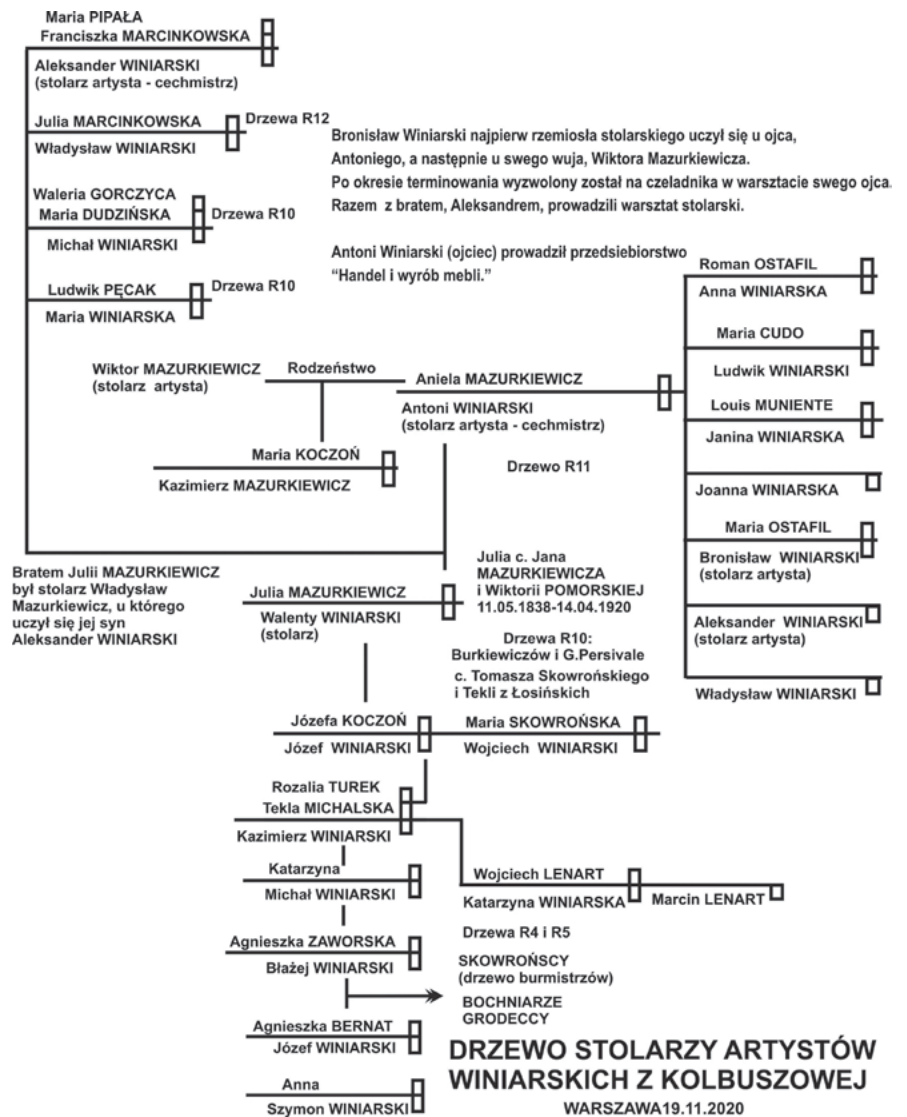


WIKTOR WINIARSKI W SWOJEJ STOLARNI, 1958 R., FOT. JANUSZ VOGEL

Pająk. Później jeszcze przepiękne parkiety robili Opalińscy, trafili na Zamek Królewski w Warszawie i do wielu innych znanych miejsc w Polsce.

O popularności wyrobów kolbuszowskich mogą świadczyć zachowane inwentarze siedzib magnackich, czy dworów szlacheckich, gdzie wśród spisów mebli występują one dość często. W inwentarzu zamku wiślickiego z 1678 roku wymieniana jest szkatuła dębowa kolbuszowskiej roboty w białym okowie czarna. Spis mebli pałacu lubartowskiego wymienia szafę dębową z okowem mosiężnym oraz sześć krzeseł dębowych kolbuszowskiej roboty, w których spody i tyły adamaszkiem zielonym obite. Meble kolbuszowskie uwzględnia także inwentarz zamku w Dubnie. Również w pałacu Sanguszki w Krakowie spotykamy wyroby kolbuszowskie. W pałacu (dworze) Bieździadce, wsi Romerów, znajdowało się biurko kolbuszowskiej roboty z 4 szufladami. Stolik kolbuszowski posiadał Antoni Batowski z Pustkowa. Inwentarze szlacheckie z końca XVII w. wyszczególniają jeszcze i inne wyroby kolbuszowskie.

Cenna kolekcja bogato intarsjowanych barokowych muzealiów określanych jako meble kolbuszowskie zdobi jeszcze pałace i dwory Galicji: Łańcut, Przecław, Rzemień, Rzeszów, są także w pałacu w dalekiej Choroszczy, jak i słynne, mozaikowe, artystyczne posadzki. Unikatowość tych zbiorów stanowią biedermeierowska kanapa (fornirowana orzechem i intarsjowana jaworem, wykonana przez stolarza Jana Turka w latach 20. XIX w. dla Tyszkiewiczów z Weryni) oraz replika biblioteczki (z Pałacu w Weryni, którą wykonał w 1932 roku Wiktor Mazurkiewicz). Uzupełnieniem kolekcji są inne meble zamawiane przez kolbuszowskich mieszczan, znacznie mniej zamożnych klientów, z czego wynika ich stosunkowo skromna forma i zdobnictwo, np.: komoda (dębowa, z charakterystyczną wstęgową intarsją, należąca kiedyś do rodziny Grodeckich), szafa apteczna (wykonana pod koniec XIX w. dla rodziny Cassinów), szafa (o charakterystycznym wykroju płytcin drzwiowych wykonana w pierw-



szych latach drugiej połowy XIX w. dla rodziny Winiarskich oraz stolik na kwiaty z warsztatu Wiktora Mazurkiewicza, intarsjowany, datowany na 1952 rok, czyli jeden z ostatnich tego artysty.

Cieszy też, że muzeum w Kolbuszowej wciąż uzupełnia swoje zbiory zabytkowych mebli kolbuszowskich, są przecież o nich dość często internetowe informacje o możliwości ich zakupu.

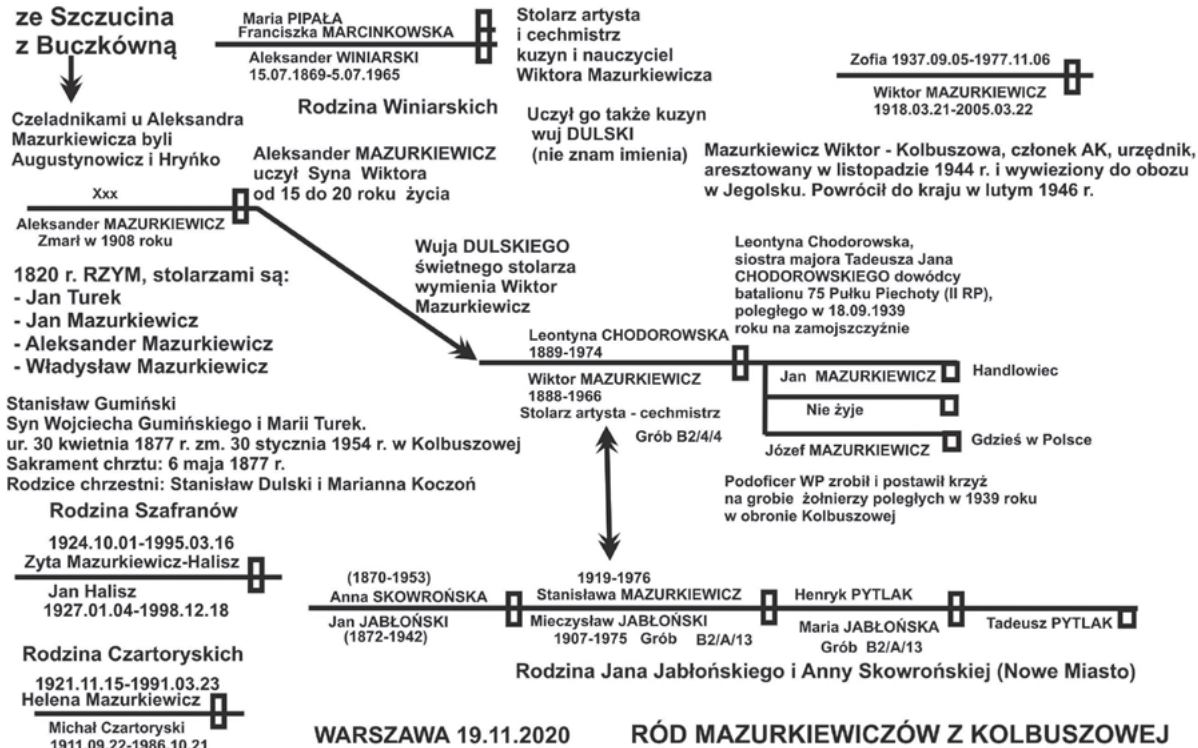
Szkoda tylko, że nikt nie zebrał wszystkich informacji o kolbuszowskich stolarzach artystach, bo chyba na to zasługują. Mam to szczęście, że mam drzewa Skowrońskich „po mieczu” i Winiarskich „po kądzieli” przewijają się tam nazwiska kolbuszowskich stolarzy. Na drzewach tych występują też Mazurkiewicze, Leśniowscy, Dulscy i inni. Mazurkiewicze, którzy byli przybyszami ze Szczucina, związali się z Winiarskimi, a z nimi powiązani są Leśniowscy

i Dulscy.

Obok mojego domostwa, koło starego sądu, była kuźnia Mazurkiewiczków, oni też związali się z moją rodziną. Tam mieszkali rodzice Emilii Winiarskiej z domu Mazurkiewicz, córki Jana Mazurkiewicza i Marii z domu Czochara. Jej Ojciec miał tam kuźnię. Była żoną mojego wuja Ludwika Winiarskiego (świątynego szewca), brata mojej matki. Dom dalej w stronę miasta był dom Antoniego i Bronisława Winiarskich. Bronisław wraz z bratem Aleksandrem prowadził warsztat stolarski, Antoni zajmował się handlem meblami – mowa o drzewie 3 Winiarskich, a na nim zaznaczeń R10, R11 i R12, to ostatnie jest moje.

Na pewno interesujące byłyby drzewa genealogiczne wszystkich wyżej wymienionych rodów stolarskich, jak i dokładny spis stolarzy artystów z Kolbuszowej. Powinny

Ślub Mazurkiewiczza ze Szczucina z Buczkówną



być też skatalogowane wszystkie meble kolbuszowskie nadal dostępne w polskich muzeach, pałacach i zamkach. Zastanawiam się też, czy wytwórcy tych mebli, nadawali im znak wytwórcy, jeżeli tak to wymagałoby to rozszyfrowania.

Pokrewny temat, to kolbuszowskie lutnictwo, bardzo znane na flisackim szlaku, podobnie jak meble i inne wyroby drewniane. Skrzypce były używane przez włóścian i flisaków mających związki z Kolbuszową z powodu bliskości dróg wodnych i handlu towarami z Kolbuszowej na szlaku do Gdańska. Skrzypce kolbuszowskie były tak dobre, że spowodowały przysłowie: „zgrał się jak kolbuszowskie skrzypce”.

Kolbuszowa w XVIII i XIX w. słynęła bowiem z wyrobu skrzypiec i muzykowania. Kolbuszowskie skrzypce z 1796 roku to dzieło lutnika Kazimierza Burzyńskiego. Skrzypce te znajdowały popyt na flisackim szlaku wzdłuż Wisły od Puszczy Sandomierskiej po Gdańsk. Według tradycji w XVIII - XIX wieku wyrabiano tu skrzypce, które rozwożone przez flisaków na tratwach ze zbożem i produktami drzewnymi Puszczy Sandomierskiej, znajdowały duży popyt w miastach wzdłuż Wisły, nie wyłączając stolicy Warszawy, aż po Gdańsk i Elbląg, zyskując dla

Kolbuszowej sławę.

Kolbuszowskie meble doczekały się kilku monografii, lutnictwo potraktowano raczej jak produkt uboczny i mniej ważny. Wzmianki o nim są jedynie w „Słowniku lutników polskich” Zdzisława Szulca. Kolbuszowskie zespoły muzyczne korzystają do dziś z wyrobów lutniczych z tej miejscowości.

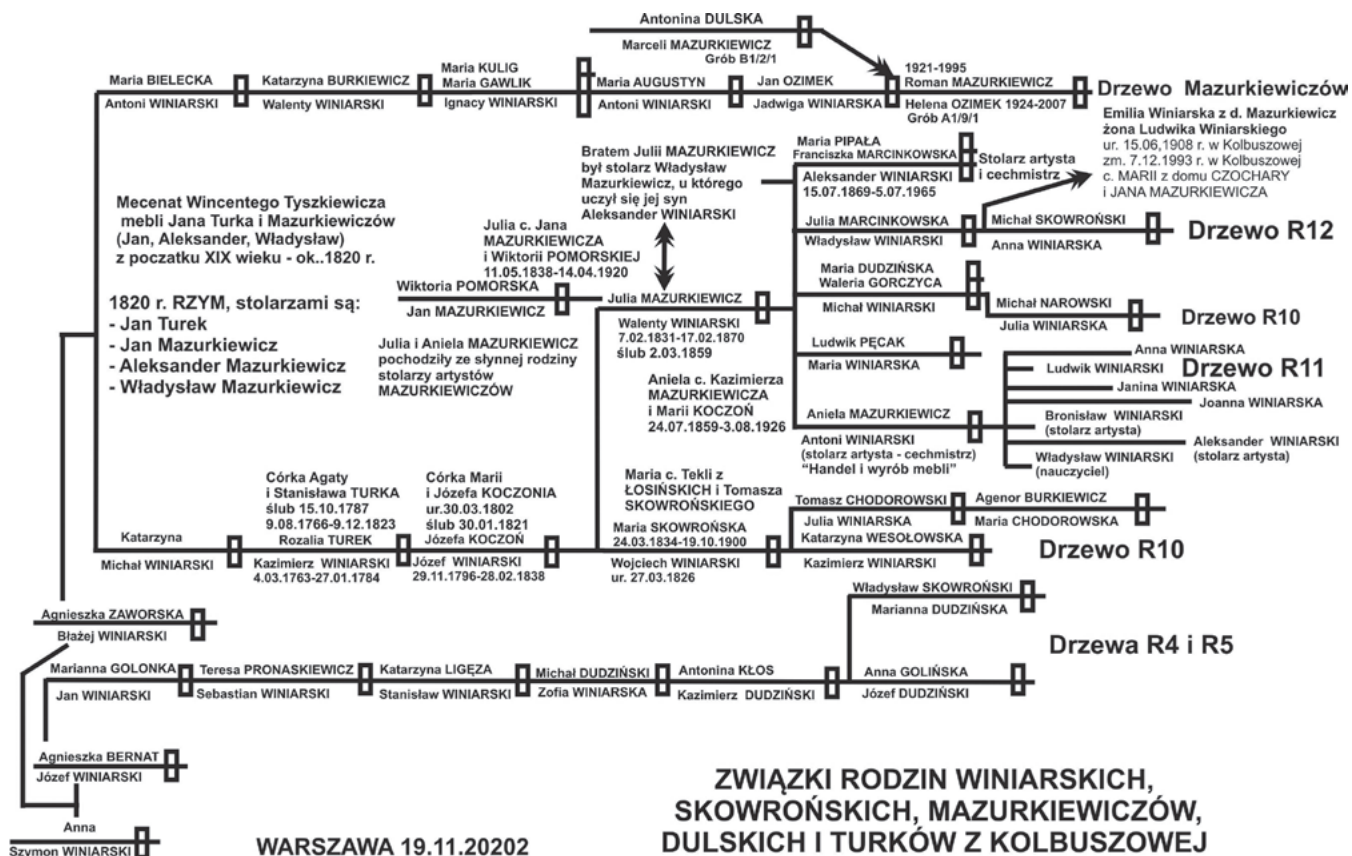
Szkoda, że pamiątki po dwóch dziełach Kolbuszowian meblarstwa i lutnictwie nie są dokładnie skatalogowane, a ich twórcy z imienia i nazwiska znani.

Interesująca jest też opowieść Kazimierza Skowrońskiego w artykule „Miasto trzech przysłów”. Jednym z nich było właśnie to przysłowie: „Zgrał się jak kolbuszowskie skrzypce”, zanotowane i omówione w „Przysłowia polskie” J. St. Bystronia. Przysłowie to świadczy o jakości skrzypiec i używających je muzyków.

Jak stwierdził Kazimierz Skowroński, o lutnictwie (wyrobie skrzypiec, altówek i basów) wspomina się jedynie na marginesie sławnego kolbuszowskiego meblarstwa i przy okazji głośnego kolbuszowskiego muzykowania, a przecież tradycja kolbuszowskiego lutnictwa znajduje poparcie w naukowych badaniach i ekspozycjach muzeów, przede

wszystkich w miejscowym Muzeum Regionalnym Lasowiaków, w Muzeum Przemysłowym w Krakowie a nawet w tak stąd odległym Muzeum w Poznaniu, które posiada w swych zbiorach skrzypce kolbuszowskie z roku 1796, dzieło lutnika Kazimierza Burzyńskiego. Autor „Słownika lutników polskich” Poznań 1953, Zdzisław Szulc wymienia Kolbuszową kilkakrotnie, jako miejsce zamieszkania i pracy lutników – obok podobizny skrzypiec nr 157 wymienia Kazimierza Burzyńskiego z Uścia Solnego koło Kolbuszowej”. Warto tę wiedzę zgromadzić i uporządkować.

Według Jerzego Wrony w Trzęsówce i okolicy, działało wyjątkowo wielu lutników. W jego rodzinie muzykaniem i lutnictwem był brat Anny, babci Jerzego Wrony, Paweł Piotrowski. Według przekazu rodzinnego na skrzypcach jego roboty, koncertowała skrzypaczka Wanda Wiłkomirska. Nazwisko lutnika odnotowane jest w europejskich leksykonach. Pradziadek Jerzego skrzypek muzykant był ożeniony z siostrą ojca Jana Stygi. Stygowie od pokoleń byli, skrzypkami mieszkającymi w różnych miejscowościach, Hadykówka, Trzęsówka, Zarębki aż w końcu osiedlili się w Kolbuszowej. Jan Styga mieszkał wówczas



w domu Aleksandra Winiarskiego na Nowym Mieście.

W Internecie można znaleźć, że multiinstrumentalista samouk Jan Cebula (12.07.1937-7.11.2019), laureat nagrody Kolberga w 2017 roku miał takie kolbuszowskie skrzypce, które kupił jego starszy brat od miejscowego lutnika Kiwaka. Niestety jego imienia jak i wielu meblarzy, mimo starań nie udało mi się odszukać, a Kiwacy mieszkają w Kolbuszowej i Weryni, trudno mi stwierdzić o których chodzi? Drzewo Kiwaków z ul. Rzeszowskiej, tych związanych z Lenartami i Mytychami mam.

Drzewo powyżej obrazuje związki kilku stolarskich rodów kolbuszowskich. Niech załączone drzewa będą przyczynkiem do podjęcia się takich prac w Kolbuszowej, tak aby nikt już nie sądził, że kolbuszowscy stolarze artyści nie są tu znani. Warto byłoby w kolbuszowskim muzeum sporządzić też mapę w jakich miejscowościach, pałacach i zamkach można dziś jeszcze spotkać efekty pracy kolbuszowskich meblarzy. Zapewne wielu Kolbuszowian zainteresowanych jest takimi informacjami, ja także.

Marzy mi się jednak trójwymia-

rowy kolorowy katalog mebli kolbuszowskich i wyrobów lutniczych z uwzględnieniem informacji o ich twórcach, bowiem warto się tym chwalić. Instrumenty można by związać z muzycznymi próbkami ich brzmienia, sprawdzając przyszłowie, czy nadal muzycy „zgrali się jak kolbuszowskie skrzypce”. Chciałbym doczekać się takiego projektu w kolbuszowskim muzeum, miło widziane byłyby egzemplarze mebli zakupione przez muzeum. Moim zdaniem sprawa warta zachodu, bo dopiero wówczas doc. Franciszek Kotuła z Rzeszowa byłby zapewne przekonany o wyższości stolarzy z Kolbuszowej nad Sokołowem Małopolskim. Choć miejscowości tej zasługi też są mi znane i niektórymi warto się chwalić. Przecież onegdaj był to powiat kolbuszowski, a stolarze i lutnicy z całego powiatu się wywodzą! Sęk w tym, że ta historia dotyczy „mebli kolbuszowskich”, a nie „sokołowskich”, czego w owej polemice nie podkreślono.

Źródła:

1. Kazimierz Skowroński, *Kolbuszowskie „przytutki” – nazwiska i przydomki.*
2. APKr OW, A. Sang. Teki 256, *List*

Franciszka Włodkowska do Pawła Sanguszki z 28 III 1737 r.; APKr OW, A.Sang. Koresp. 11.; APKr OW, A. Sang. Rkps 393/5; APKr OW, A.Sang. Rkps 200.

3. Malicki Z., Zwolińska K., *Mały słownik terminów plastycznych*, wyd. 3., Warszawa: WP 1990.
4. Zdzisława Bytnar, *Rocznik Kolbuszowski*, nr 5, 2001 rok.
5. Stefan Sienicki, *„Meble kolbuszowskie”*, Warszawa MCMXXXVI.
6. Maciej Skowroński: *„Wiktorem Mazurkiewiczowi, ostatniemu Mohikaninowi kolbuszowskiego meblarstwa, w hołdzie”*, *„Ziemia Kolbuszowska”* nr 10 z 1994 roku.
7. Kazimierz Skowroński *„Miasto trzech przystów”*, Biuletyn 1/66 Muzeum Regionalne Lasowiaków Towarzystwa Opieki nad Zabytkami w Kolbuszowej.
8. Zdzisław Szulc. *Słownik lutników polskich*. Poznań 1953, nr 228, 233, 245, 157-161 i str.
9. Zofia Serafin i Józef Sudoł, *Kolbuszowskie chóry*, *Rocznik Kolbuszowski* 4/2000, str. 153-183.
10. Informacje z drzew Zbigniewa Winiarskiego: R9, R10, R11, R12.

Zenona Chodorowska

Jubileusz 10. Lecia Grupy Folklorystycznej „Ziemia Kolbuszowska”

Grupa Folklorystyczna Seniorów „Ziemia Kolbuszowska” wyrosła z tradycji lasowiackiej kniei, jak ów dąb puszczański. Uczy młodych miłości do ziemi ojców, do tańca, do pieśni ludowej, do naszej dawnej mowy. To dzięki niej rozbrzmiewa jak szum leśny głos starej piosenki.

„Ziemia Kolbuszowska” powstała na przełomie 2011/2012 roku na Uniwersytecie Trzeciego Wieku w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej w Kolbuszowej pod nazwą „Ziemia Podkarpacka” w ramach programu „Szansa na aktywność osób starszych”. Z inicjatywą powstania grupy przy Polskim Związku Emerytów, Rencistów i Inwalidów w Kolbuszowej wyszła Zenona Chodorowska – Przewodnicząca Związku i Krystyna Mazurkiewicz jako Wiceprzewodnicząca Związku. Dzięki uprzejmości Andrzeja Jagodzińskiego Dyrektora biblioteki, Grupa spotykała się na ćwiczeniach z tańca i śpiewu w pomieszczeniach biblioteki.

Ćwiczenia z tańca prowadziła Krystyna Mazurkiewicz – długoletni choreograf, specjalizująca się w tań-

cach ludowych, narodowych i towarzyskich. Opracowanie muzyczne i śpiew prowadził Jarosław Mazur – nauczyciel i muzyk.

Grupę tworzyli seniorzy z miasta i powiatu kolbuszowskiego w ilości 23 osób i byli to: Wanda Chmielowiec, Zygmunt Chmielowiec, Teresa Błat, Teodozja Hałdaś, Józef Hałdaś, Maria Kupczyk, Anna Płaza, Wiktor Piekarz, Helena Piekarz, Jerzy Szafrański, Jerzy Mazurkiewicz, Lucyna Marut, Kazimierz Wróblewski, Grażyna Nowak, Feliks Olszowy, Danuta Ryk, Zygmunt Ryk, Danuta Róg, Antoni Marek, Krystyna Dziewic, Cecylia Garbacka, Józef Garbacki, Zenona Chodorowska. Choreograf Grupy – Krystyna Mazurkiewicz i muzyk Jarosław Mazur. Skład Grupy zmienił się w roku 2014. Z przyczyn zdrowotnych i naturalnych

z Grupy odeszli: Teresa Błat, Wiktor Piekarz, Lucyna Marut, Feliks Olszowy, Krystyna Dziewic, Grażyna Nowak. W Grupie pozostało 17 osób. Zespół występował w środowisku lokalnym, brał udział w różnych konkursach. W swoim repertuarze posiadają piosenki ludowe, biesiadne oraz tańce ludowe z Podkarpacia. W okresie Bożego Narodzenia zespół przywraca pamięci najstarsze kolędy i pastorałki, a w rocznicę Niepodległości Polski zaprasza mieszkańców Kolbuszowej i okolic do wspólnego śpiewania piosenek i pieśni patriotycznych. „Ziemia Podkarpacka” bierze udział i zdobywa nagrody i wyróżnienia w konkursach: „Senioriada” w Boguchwale, w Krzeszowie w Konkursie kolęd, w Dębicy w „Przeglądzie Zespołów Folklorystycznych 60+”.



PIERWSZE PRÓBY ŚPIEWU GRUPY



PIERWSZE ĆWICZENIA UKŁADÓW TANECZNYCH

W 2017 roku zmienia się choreograf Grupy, zostaje nim Sylwia Przybyło, muzykiem nadal jest Jarosław Mazur. Do Grupy dołączają: Stanisław Sajdak oraz Karol Fryc. W 2018 roku znowu zmienia się choreograf, zostaje nim Piotr Drozd, a muzyką zajmuje się do maja 2019 roku Jarosław Mazur. Natomiast od września muzykiem Grupy zostaje Edmund Dyło.

Podziękuj władzom Województwa, Powiatu, Miasta i Gminy Kolbuszowa, Dyrektora Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej w Kolbuszowej oraz sponsorów zakładowych i indywidualnych Grupa posiada kompletne stroje lasowiackie i biesiadne. Występuje w środowisku lokalnym i innych miastach Polski, reprezentując miasto i powiat.

W roku 2019 zmienia się nazwa Grupy na „Ziemia Kolbuszowska”. Z przyczyn naturalnych i zdrowotnych z Grupy odchodzą: Józef Hałdaś, Jerzy Szafranski, Jerzy Mazurkiewicz, Danuta i Zygmunt Ryk. Natomiast do Grupy dochodzą: Anna Łągowska i Roman Rauch. W roku 2020 Grupa bierze udział w realizacji programu dla dzieci pod hasłem „Przekazywanie tradycji lasowiackiej młodemu pokoleniu” w przedszkolach Gminy Kolbuszowa i okolic. Od 2021 roku choreografem Grupy jest Marta Nycek-Kaczor, a muzykiem Edmund Dyło. Grupa liczy 16 osób, ćwiczy śpiew i taniec w Domu Kultury w Kolbuszowej Górnej. Do Grupy należą: Wanda i Zygmunt Chmielowiec, Celina i Józef Garbaczki, Danuta Róg, Antoni Marek, Anna

Płaza, Karol Fryc, Teodozja Hałdaś, Roman Rauch, Maria Kupczyk, Kazimierz Wróblewski, Anna Łągowska, Helena Piekarcz, Stanisław Sajdak, Zenona Chodorowska.

W roku 2022 Grupa obchodziła Jubileusz 10. Lecia. Z tej okazji „Ziemia Kolbuszowska” przy współudziale Kapeli „Cmolaskie Chłopaki” nagrała płytę pt. „Lasowiaci. Tradycyjnie i biesiadnie”. Zespół „Ziemia Kolbuszowska” składa serdeczne podziękowanie wszystkim osobom, instytucjom, firmom, które wsparły wydanie tej płyty. Władysławowi Ortyłowi Marszałkowi Województwa Podkarpackiego, Ewie Draus Wicemarszałek Województwa Podkarpackiego, Damianowi Drągowi Dyrektorowi Wojewódzkiego Domu Kultury w Rzeszowie, Janowi Zubie Burmistrzowi Kolbuszowej, Wiesławowi Sitko Dyrektorowi Miejskiego Domu Kultury w Kolbuszowej, Mieczysławowi Soboniowi Prezesowi Firmy „Solbet” oraz wielu Firmom i sponsorom wspomagającym działalność Grupy.

W tym też roku Grupa Folklorystyczna „Ziemia Kolbuszowska” otrzymała Odznakę „Zasłużony dla Kultury Polskiej”, przyznaną przez Piotra Glińskiego Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego na wniosek Pośta Zbigniewa Chmielowca.



ZAKOŃCZENIE UNIWERSYTETU TRZECIEGO WIEKU

Agata Front

Las – uojciec nas...

Wiosną 2021 r. Muzeum Kultury Ludowej w Kolbuszowej ogłosiło, że Ministerstwo Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu dofinansuje trzyletnie badania pn. „Las w życiu i kulturze mieszkańców Rzeszowszczyzny”.

Warto pamiętać, że jeszcze na przełomie XVI i XVII w. lasy rozrastały się na ponad 80% powierzchni północnej Rzeszowszczyzny. Była to nieprzebyta Puszcza Sandomierska. Do dziś statutowy obszar zainteresowania Muzeum to jeden z najbardziej zalesionych terenów w Polsce. Badanie kultury Lasowiaków i Rzeszowiaków, szczególnie tych jej aspektów związanych ze środowiskiem, w jakim się kształtowała, jest szalenie ważne.

Czy badania potwierdzą hipotezę?

Kiedy północna część Rzeszowszczyzny w większości pokryta była lasami, w południowej jej części rozwijało się osadnictwo, a lasy zajmowały znacznie mniejszy areał. Można przypuszczać, że dla mieszkańców Rzeszowszczyzny, w zależności od miejsca zamieszkania bliskość terenów leśnych miała różne znaczenie. Dla Lasowiaków – mieszkańców dawnej Puszczy Sandomierskiej – las był naturalnym, oswojonym, bezpiecznym miejscem życia (*orbis interior*), a jednocześnie jednym z najważniejszych elementów tradycyjnej wizji świata. Natomiast dla Rzeszowiaków jawił się on raczej jako miejsce, z którego bogactw korzystano dla uzupełnienia jądłospisu i przygotowywania zapasów; stanowił jedno ze źródeł utrzymania. Był jednym z ważnych elementów tradycyjnej wizji świata, ale – inaczej niż u Lasowiaków – postrzegany jako przestrzeń obca, nieoswojona, nieudomowiona (*orbis exterior*). Jest to jednak tylko przypuszczenie niemające dotąd mocnego oparcia w materiałach terenowych. Potwier-

dzenie hipotezy o różnym znaczeniu lasu dla Lasowiaków i Rzeszowiaków miałyby kapitalne znaczenie dla zrozumienia dawnego, tradycyjnego światopoglądu charakterystycznego dla mieszkańców Rzeszowszczyzny. Warunkowałoby to zrekonstruowanie ludowej wizji świata stanowiącej fundament tożsamości żyjących w tym regionie ludzi. To z kolei ma istotne znaczenie dla egzystencji mieszkających współcześnie na tym terenie, a prezentowanie i dokumentowanie ich rodzimego dziedzictwa to zasadniczy cel działania kolbuszowskiego Muzeum.

Działania związane z projektem „Las w życiu i kulturze mieszkańców Rzeszowszczyzny” przyniosą szczegółowe informacje nie tylko na temat lasu jako swojego rodzaju przedsiębiorstwa gospodarczego – żywiciela i opiekuna zamieszkującej go ludności, miejsca, gdzie rodził się przemysł związany z drzewem, ale także innych ważnych funkcji, jakie spełnia w życiu człowieka. Pokażą to środowisko również jako przestrzeń związaną z wierzeniami, magią i obyczajowością oraz jako motyw obecny w twórczości lokalnych pisarzy, poetów, malarzy czy muzyków.

Jaki jest porządek rzeczy?

W latach 2021 – 2023 r. zaplanowano szereg działań, które mają doprowadzić do zdobycia różnorodnej dokumentacji dotyczącej zagadnień projektowych. W pierwszej kolejności były to kwerendy w bibliotekach i archiwach folkloru stanowiące solidną podstawę metodologiczną i teoretyczną. Kolejnym działaniem było opracowanie kwestionariuszy

(scenariuszy rozmów z informatormi) – niezbędnych, by wiadomości pozyskane od mieszkańców regionu dotyczyły tych samych zagadnień. Opracowano osobne scenariusze na każdy sezon badawczy: jesienny, zimowy, wiosenny i letni. W późniejszym czasie ułatwi to naukowe opracowanie materiału oraz jego archiwizację.

Przedsmaki dla smakoszy

Na stronie internetowej Muzeum od 2021 r. publikowane są artykuły przedstawiające kolejne etapy projektu. Ukazują się również fragmenty wywiadów terenowych, które obrazują bogactwo i złożoność badanych zagadnień.



WÓLKA ŁĘTOWSKA 600-LETNI DĄB MIEK, FOT. ADAM DRAGAN

I – jesień

Takie to miejsce było nazywane Pary i chodziłem tam z babką i ta babka zawsze mówiła: Stasiu, uważaj, żebyś tu nie zabłądził, bo cię będzie wodzić. [...] Wodziło, wodziło, jak tam chto wszedł już, w te Pary... Wie pan, takie bagna tam były, dzisiaj nie ma już, tam teraz pan przejdzie bosą nogą bez niczego, ale dawniej tam trudno było w gumiakach przejść, takie były zalane tereny. [...] Wodziło. Były mierniki takie, chodziły światełka, co jak ktoś pole sprzedał, a nie oddał temu właścicielowi to później on chodził jako światełko naokoło tego pola. [...] Każdy las jest inny i są takie łąki w lasach, na których z której strony byś pan przyszedł, to później nie wiesz, gdzie iść, bo się przekreśli w głowie i później idziesz w odwrotną stronę.

Informator z Mielca, rozmawiał dr Janusz Radwański

II – zima

Cało zime chodziły do lasu, pnioki kopaly chłopy, każda sosenka, czy tam jakieś drzewo było wykopane, te użnięte, to był wykopany pniok. Wszystko do domu przywozili, tam piło się poobrzynało, [...] wszystko się spalyło. Kiedyś bardzo ludzie szanowali drzewa, tak nie żnyli jak to dziś: pójdzie, motorowo piło żnie. Żnij dzień! O, taką piłą, na kolanach, i tak, i siak, już krzyże bolo, nogi bolo, a tu – coś użnyła: tyčki kowółek, a to była grubo sosenka! [...] Całe życie chodziłam, dopiero my piłe kupiły, jak o, teraz już. [...] I jak sie coś użnyło grubsze, to na chlyb, bo jak się piekło chlyb, co dwa tygodnie się piekło, siedem bochenki, sześć, to trza było drzewo proste, grube, żeby to natożyć, bo dwa narynca trza było na roz.

Informator z Rakszawy, rozmawiała Jolanta Danak-Gajda

III – wiosna

Kapliczka z Matką Boską od Gradobicia jest przy lesie koło Hadli Kańczuckich, ale to nasza parafia. Opowiadano, że kiedyś straszne grady były i zebrali się starzy gospodarze, i kupili figurkę, postawili najpierw we wsi, ale nie dało to za-

mierzonego rezultatu i wywieźli ją poza wieś, pod las, w miejsce które nazywano Kościoły. Ta kapliczka na Kościołach wybudowana. Powiem pani: przychodzą kłęski, huragany, gradobicia, nas dzięki Bogu omijają. I jednak trza w to wierzyć, ale tam chodzimy, modlimy się. Tam się msze odprawia: 3 maja na Królowej Polski, na Zielną, w październiku na różaniec. Było tak: przysłiśmy na mszę poświęcić ziele, pod las, ławeczki są porobione. Patrzymy – wychodzi chmura, patrzymy – a tu słońce wychodzi! Wyglądało jakby słońce odpychało chmurę. I jak są tam msze to nigdy nie pada.

Informator z Hadli Szklarskich, rozmawiała Agata Hemon

IV – lato

Jagody się zbierało od końca czerwca, jak już były czarne, dojrzałe. Tylko nie wolno było na Piotra i Pawła iść do lasu, bo wszystkie gady wtedy wychodziły. Coś to było, przestrzegli, żeby nie iść, bo wtedy te gady miały jakieś gody. I faktycznie ludzie przestrzegali tego, nie chodzili. [...] Jagody zbierali do Bartłomieja. Gadali, że potem jagody są gorzkie. Takie nawet powiedzenie było, że Bartek uobejszczół jagody. A Bartłomieja jest 4 sierpnia.

Informator z Ostrów Baranowskich, rozmawiał Wojciech Dragan

Co zostanie?

Pod koniec 2022 roku i na początku 2023 roku muzealnicy oraz badacze będą transkrybować wywiady, opracowywać skany dokumentów, fotografii, zapisków, śpiewników, notatek i pamiętników udostępnionych przez informatorów czy zebranych podczas kwereń. Następnie część opracowanych materiałów trafi do Internetu, natomiast całość zostanie złożona w Archiwum Naukowym MKL. Równocześnie będą prowadzone prace redakcyjne i wydawnicze nad monograficzną publikacją pt. „Las w życiu i kulturze mieszkańców Rzeszowszczyzny”.

Będzie to piąte wydawnictwo gruntownie omawiające kolejne zagadnienie z bogatej kultury Lasowiaków i Rzeszowiaków. Dotychczas w tej unikatowej serii ukazały

się: „Źródła kultury ludowej Puszczy Sandomierskiej” [red. dr Krzysztof Ruszel, Kolbuszowa 2014], „Puszcza Sandomierska od kuchni. Między tradycją a współczesnością” [red. dr hab. Katarzyna Smyk, dr hab. Tomasz Pudłocki i dr Izabela Wodzińska, Kolbuszowa 2017], „Folklor Rzeszowiaków – obraz przemian” [red. dr hab. Katarzyna Barańska i Jolanta Dragan, Kolbuszowa 2018] i „Kolędowanie na Rzeszowszczyźnie” [red. dr hab. Katarzyna Smyk i Jolanta Dragan, Kolbuszowa 2020]. Wszystkie pozycje dostępne są w muzealnej czytelni, natomiast trzy ostatnie – dodatkowo – w skansenowskim sklepiku. Muzeum zachęca do lektury!

Projekt „Las w życiu i kulturze mieszkańców Rzeszowszczyzny” dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.

Opr. Agata Front
Muzeum Kultury Ludowej
w Kolbuszowej
www.muzeumkolbuszowa.pl



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Agata Front

Leśnictwo – nowe miejsce w skansenie!

Wędrując przez park etnograficzny, w pierwszej kolejności zwiedza się zwykle wieś Lasowiaków. Potem przekracza się most i przed turystami otwiera się przestrzeń prezentująca kulturę Rzeszowiaków. Od lipca 2022 r. na prawo za rzeką udostępniona jest malownicza droga prowadząca w nieco inną rzeczywistość...

To już nie puszczańska wieś, ale hrabiowski las! A właściwie taka jego część, gdzie można obejrzeć, jak wyglądało gospodarowanie dobrami leśnymi w czasach, gdy jeszcze nie było Lasów Państwowych. Zwiedzanie należy zacząć od leśniczówki z Zerwanki. Poznać ją można po lekkiej białej bryle, zielonych okiennicach ozdobionych piękną snyderką i ganeczku z herbem hrabiów Potockich. To najważniejszy i najstarszy budynek w tym miejscu. Został postawiony na terenie rewiu Biedaczów w Lasach Ordynacji Łańcuckiej hr. Potockich. Było to w latach 30. XIX w., czyli w czasach I ordynata Łańcuckiego Alfreda hrabiego Potockiego. Odziedziczył on potężny majątek leśny po swojej babce – księżnej marszałkowej Izabelli Lubomirskiej – ciągnący się na północ od Łańcuta, na zachód sięgając Głogowa, a na wschód – aż za Leżajsk. Była to własność prywatna, a więc niepodlegająca austriac-

kiemu zaborcy i musiała być przez hrabiego odpowiednio zarządzana. W tym leśnym majątku działała zhierarchizowana, liczna i sprawna administracja. Praca w jej szeregach była bardzo atrakcyjna nie tylko z tego powodu, że była dobrze płatna, ale także dlatego, że w ordynacji funkcjonował fundusz emerytalny. W tych czasach to była naprawdę niezwykła rzecz...

Leśniczówka była nie tylko miejscem pracy zarządcy, ale jednocześnie domem, gdzie mieszkała cała jego rodzina. Z ganku wchodziło się wprost do jadalni. Tu toczyło się życie rodzinne i towarzyskie, domownicy spożywali posiłki, dzieci odrabiały i pobierały lekcje, kupcy drewna byli podejmowani przez gospodynię poczęstunkiem. Przy dużym stole przebijano leśne owoce, czyszczono grzyby. Przez drzwi po lewej stronie wchodziło się do kancelarii. Tam, przy masywnym drewnianym biurku urzędował leśniczy,

przyjmował ważniejszych interesantów, np. kupców drewna spoza majątku. Przez okno – przy szerokim drewnianym parapecie – załatwiał zaś sprawy z właścicielami czy robotnikami leśnymi. Ci stali na zewnątrz na płaskim drewnianym podeście i stamtąd odbierali kwity i podpisywali papiery. W pomieszczeniu stało również drugie, mniejsze biurko dla adiunkta przyuczającego się do zawodu leśnika oraz stolik z kieliszkami i karafką – kącik odpowiedni do mniej formalnych rozmów. Ściany kancelarii ozdobiono myśliwskimi trofeami i obszerną biblioteczką. O rzeczywistym miejscu pracy leśników świadczą także szafa na broń oraz zarekwirowane kłusownikom kusza, ościęń i paście.

Z jadalni na prawo wchodzi się do pokoi prywatnych. W sypialni rodziców stoją dwa łóżka nakryte wzorzystymi narzutami. Na podłodze leżą nocnik i termoфор. Na stoliku – radio wygrywające przeboje z lat 20. XX w. Przeszklona toaleta pozwala podpatrzeć przeróżne kobiece drobiazgi potrzebne, aby wyszykować się przed wyjściem – szpilki do kapeluszy, lusterko, szczotki do włosów, torebkę, butelkę perfum. Można poczuć lekko naelektryzowaną atmosferę przygotowań przed wizytą u sąsiadów czy balem. Drugi prywatne pomieszczenie to pokój dziecięcy urządony w biało-niebieskiej kolorystyce. Uwagę zwracają idylliczne sceny przedstawione na makatkach wiszących nad łóżkami – zwierzęta pasące się wśród lasu, kwiaty, śpiewające ptaki. Nad jednym z łóżek umieszczono wizerunek św. Antoniego – opiekuna dzieci i dorastającej młodzieży. W takim



LEŚNICZÓWKA Z ZERWANKI

miejscu nie może zabraknąć zabawek. Mamy tu popularne w międzywojniu książeczki z opowiadaniem i wierszykami, drewniane klocki, lalki w wózek itp.

Za kotarą po lewej stronie znajduje się łazienka z dużą blaszaną wanną i umywalką, emaliowanym dzbankiem do nalewania wody, ręcznikiem i wszystkimi akcesoriami potrzebnymi do porannej toalety. Przez to wąskie pomieszczenie można przejść dalej – do kuchni z dużym piecem zastawionym przeróżnymi garnkami i naczyniami do gotowania na szerokiej blasze, kredensem wypełnionym malowaną zastawą, apteczką oraz szafką na przyprawę. Kuchnia to serce tego domu, pomieszczenie, z którego na lewo można zajrzeć na powrót do jadalni, można też wejść do zacienionej spiżarni, poczuć aromat suszonych ziół i owoców, miódów, nalewek, świeżego pieczywa albo maglowanego prania. Na prawo od kuchennego kredensu jest również wyjście na tylną przeszkloną werandę z dużym stołem oraz ławami. Dalej widać już ogród i wysoką zieleń lasu, a także pozostałe zabudowania leśnictwa.

Wzrok przyciąga wyjątkowa bryła wyluszczeni nasion z Dąbrówki z lat 60. XIX w. W tym pięknie zdobionym budynku pracownicy leśni pozyskiwali nasiona drzew do szkółek leśnych. Na górnej kondygnacji w potężnych drucianych koszach suszyli szyszki drzew iglastych i wyluskiwali z nich nasiona. Pod sufitem przywieszano gałęzie brzozy, lipy czy buczyny, aby nasiona tych drzew liściastych wysypywały się na rozpięte poniżej płótna. Te niezliczone załączki drzew czyściło się potem i przesiewało w wialni ustawionej na dolnej kondygnacji. Tam też zamykało się zebrane nasiona do szklanych butli i słoików, aby można było je wiosną posiać i tym samym zalesić przeznaczone do tego części łańcuckiego majątku.

Blisko wyluszczeni stoi stajnia. Została ona wybudowana w latach 30. XX w. w Leśnictwie Przeclaw, w przysiółku Podlesie, należącym do majątku rodziny Reyów. Miała aż trzy pomieszczenia. Po lewej stronie był magazyn narzędzi potrzebnych przy hodowli leśnej, a więc motyk, oskardów, kopaczek, walców, sierpów,



SUSZARNIA RUNA LEŚNEGO Z PATERAKÓW

kos leśnych i siekier w przeróżnych rozmiarach. Asortyment ten służył do przygotowywania działek pod szkółki leśne, wysiewania i sadzenia nowych drzew, pielęgnacji sadzonek, a w końcu wyrębu. Środkowe pomieszczenie było przeznaczone dla zwierząt gospodarczych – krów, cieląt, konia, świń i kur. Trzecia część stajni mieściła narzędzia potrzebne do pozyskiwania żywicy. Aby ją zebrać, należało na pniu sosny wykonać ukośne, ułożone w jodełkę nacięcia, czyli tzw. spałę i zamontować blaszany kubek, w którym zbierał się ten bursztynowy, gęsty płyn. Za ciekawostkę niech służy fakt, że w latach 60. i 70. XX w. w polskich lasach zbierano średnio ok. dwadzieścia tysięcy ton żywicy rocznie. Był to surowiec bardzo cenny, wykorzystywany do produkcji kalafonii, terpentyny, laku, a także różnego rodzaju leków. Dziś zastępuje się ją produktami syntetycznymi lub sprowadza z Chin i Ukrainy.

Idąc dalej, mija się studnię i potężną wręcz stodołę z Leżajska, i w końcu trafia na kryjącą się pod rozłożystym dębem suszarnię runa leśnego z Pateraków z lat 30. XX w. Należy pamiętać, że las to nie tylko drzewa, jego bogactwo obejmuje także grzyby, nasiona, szyszki, zioła, żywicę i inne skarby... Ludzie mieszkający wśród puszczy zbierali borówki i grzyby, aby je sprzedawać. Zanosili je do skupu, który znajdował się w tej właśnie suszarni. Z zewnątrz to bardzo prosty budynek, ale wewnątrz miał naprawdę niezwykłe. W części znajdującej się na prawo od drzwi

wejściowych jest duży piec z kotłami służącymi do przygotowywania solanki i obgotowywania grzybów. Przed laty przez to właśnie okno od czerwca do listopada odbywał się skup grzybów i borówek. Część tych darów lasu po obróbce wkładało się do beczek i eksportowało – jak np. zasolone grzyby – do USA. Borówki i gorszej jakości grzyby rozkładano na drewnianych platformach i suszono w suszarni, która znajduje się po lewej stronie od drzwi wejściowych. Warto zwrócić uwagę na system pieców i blaszanych rur, które miały za zadanie utrzymać odpowiednio wysoką i stałą temperaturę w pomieszczeniu. Dzięki nim proces suszenia przebiegał odpowiednio powoli, z zachowaniem najlepszych właściwości suszu.

Ostatnim obiektem w leśnictwie jest niewielki tartak z piłą poruszaną za pomocą silnika spalinowego. Tu ciąto się pnie na tarcicę albo grube belki na podkłady kolejowe.

Na tym niewielkim terenie można nauczyć się wiele nie tylko z historii naszego regionu, ale także z dziedziny przedsiębiorczości, przyrody i ekologii. Z tego powodu Muzeum serdecznie zaprasza szczególnie młodzież i dorosłych do zwiedzania nowo otwartych obiektów leśnictwa. Obejrzenie zabytkowych wnętrz jest możliwe tylko w obecności przewodnika.

Opr. Agata Front
Muzeum Kultury Ludowej
w Kolbuszowej
www.muzeumkolbuszowa.pl

Kwesta na cmentarzu 1 listopada

Jak co roku w dniu 1 listopada na cmentarzu parafialnym w Kolbuszowej ma miejsce kwesta na renowację zabytkowych nagrobków. Już po raz 13 organizatorem kwesty jest Regionalne Towarzystwo Kultury im. Juliana Macieja Goslara, której członkowie wraz z zaproszonymi gośćmi i uczniami szkół średnich zbierają pieniądze do puszek.

W tym roku przy pięknej, jesiennej pogodzie na kolbuszowskim cmentarzu parafialnym do puszek zebrano łącznie 16 197,78 zł. Jest to jak dotąd najwyższa kwota, jaką udało się zebrać podczas zbiórek. Zebrane pieniądze przeznaczone zostaną na renowację kolejnych zabytkowych pomników.

W ostatnich dwóch latach kwesty nie odbyły się ze względu na czas pandemii. Jednak w okresie tym na cmentarzu parafialnym zostały odrestaurowane dwa, sąsiadujące ze sobą nagrobki: notariusza Józefa Lityńskiego oraz rodziny Góreckich. Zostały one pieczołowicie odnowione przez pracownię konserwatorską pani Jadwigi Bąk.

Bardzo dziękujemy wszystkim gościom, członkom Regionalnego Towarzystwa Kultury, pracownikom biblioteki oraz młodzieży Zespołu Szkół Technicznych i harcerzom hufca Kolbuszowa im. Janka Bytnara Związku Harcerstwa Polskiego za poświęcony czas.

Szczególne podziękowania dla pracowników Banku Pekao SA za przeliczenie zawartości puszek.



Tablica upamiętniająca Ks. Dudziaka

20 listopada 2022 roku po Mszy Św. w Kolegiacie Kolbuszowskiej o godz.12 odprawianej w intencji śp. ks. Józefa Dudziaka (1936-2015) odsłonięto tablicę pamiątkową. Ksiądz proboszcz Lucjan Szumierz we wzruszającej homilii przypomniał sylwetkę księdza oraz powody powstania tablicy. Inicjatorami ufundowania była grupa maturzystów z roku 1973, których ksiądz Dudziak był katechetą i wychowawcą. Do grupy dołączyli uczniowie ks. Dudziaka z innych roczników.

Ks. Józef Dudziak rozpoczął swoją posługę w parafii pod koniec 1962 roku i pełnił ją do 1980 roku. Jak podkreślają jego uczniowie i wychowankowie był w ich życiu Postacią wyjątkową, która potrafiła przyciągać do siebie młodzież. Każdy uczeń był dla niego ważny a jego problemy istotne, zawsze starał się pomóc w ich rozwiązaniu w sposób taktowny. Lekcje katechezy nie miały formy skostniałego wykładu ale były rozmową, poszukiwaniem Boga, prawdy i dobra, zachęcały do dyskusji.

W pamięci jego uczniów pozostała szczególnie skrzynka, do której każdy anonimowo mógł wrzucić karteczkę z pytaniem na dowolny temat, a ksiądz wspólnie z uczniami znajdował na nie odpowiedzi. To kształtowało umiejętność dyskusji, argumentacji i postawy uczniów

w dorosłym życiu.

Miał wyjątkową pamięć do nazwisk i imion swoich wychowanków i nawet po wielu latach bezbłędnie ich rozpoznawał. Przez wiele lat utrzymywał kontakty ze swoimi uczniami. Będąc już proboszczem w parafii w Lubzinie, gdy nie mógł brać udziału w zjazdach maturalnych zawsze listownie dziękował za zaproszenie i zapewniał o pamięci i o modlitwie.

Te jego cechy charakteru oraz wpływ jaki wywarł na życie swoich wychowanków spowodowały, że w 60-tą rocznicę przybycia księdza Dudziaka do Kolbuszowej i blisko 50 lat od zdania egzaminu dojrzałości przez uczniów z rocznika 1973 powstała idea upamiętnienia tej postaci.

Tablica projektu mgr inż. Adama Kardysia, wykonana przez Mateusza

Starca, została zamontowana przy aprobacie ks. Proboszcza Kolegiaty Kolbuszowskiej w Domu Wsparcia Rodziny, w pomieszczeniu gdzie kiedyś odbywały się katechezy prowadzone przez księdza Dudziaka a obecnie działu Świetlica Profilaktyczno-Wychowawcza „Przystań”. Dlatego fundatorzy postanowili, po rozliczeniu kosztów wykonania tablicy, pozostałe środki przekazać na działalność świetlicy.

Po poświęceniu tablicy uczestnicy uroczystości dzielili się swoimi wspomnieniami o księdzu. Pojawiła się propozycja, aby jego wychowankowie przekazali swoje wspomnienia w formie pisemnej do zbiorów kolbuszowskiej biblioteki. Te teksty zostałyby zamieszczone w ewentualnej publikacji poświęconej księdzu Dudziakowi.

ADJ





Narodowe Czytanie w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej w Kolbuszowej

Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Kolbuszowej do Akcji Narodowego Czytania organizowanej przez Prezydenta RP przystąpiła w roku 2014. Czytaliśmy wtedy na kolbuszowskim Rynku „Trylogię” Henryka Sienkiewicza. W kolejnych latach: „Lalkę” Bolesława Prusa, „Quo Vadis” Henryka Sienkiewicza, „Wesele” Stanisława Wyspiańskiego, a w 2018 roku z okazji Jubileuszu 100. Rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości „Przedwiośnie” Stefana Żeromskiego. W 2019 roku lekturą Narodowego Czytania były „Nowele polskie” – zbiór 8 utworów autorstwa Elizy Orzeszkowej, Marii Konopnickiej, Bolesława Prusa, Brunona Schulza, Władysława Stanisława Reymonta, Stefana Żeromskiego, Henryka Sienkiewicza i Henryka Rzewuskiego. Lekturą Narodowego Czytania 2020 roku była „Balladyna” Juliusza Słowackiego, a rok później w całej Polsce i na świecie przeczytano „Moralność pani Dulskiej” Gabrieli Zapolskiej. W ostatniej edycji „Moralność pani Dulskiej” czytali uczniowie szkół średnich z Kolbuszowej oraz Weryni. Mini recital piosenek „O kobietach” zaśpiewała wtedy Karolina Trojnacka, mieszkanka Weryni. Lektury co roku wybierane przez Prezydenta, czytaliśmy we fragmentach, a utwory dramatyczne z podziałem na role.

Miejscem spotkań był kolbuszowski Rynek do roku 2018, następne edycje odbywały się na placu przed budynkiem dawnej synagogi lub w jej pomieszczeniach. W Narodowym Czytaniu brali udział: Zbigniew Chmielowiec Poseł na Sejm RP, przedstawiciele władz powiatowych: Józef Kardyś Starosta Kolbuszowski, Wojciech Cebula Wicestarosta, Stanisław Stec Sekretarz Powiatu, Małgorzata Mokrzycka-Kwaśnik Skarbnik Powiatu, Mieczysław Burek Przewodniczący Rady Powiatu,

przedstawiciele władz samorządowych Miasta i Gminy Kolbuszowa reprezentowanych przez Jana Zubę Burmistrza, Marka Gila Zastępcę Burmistrza, Stanisława Zubra i Jacka Mroczkę Skarbników Kolbuszowej, Barbarę Bochniarz i Krzysztofa Matejek Sekretarzy Kolbuszowej. Czytali także dyrektorzy wszystkich kolbuszowskich szkół, dyrektor Szkoły Podstawowej w Kupnie i w Widelce, Zespołu Szkół Agrotechniczno-Ekonomicznych w Weryni, przedstawiciele Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej, członkowie Regionalnego Towarzystwa Kultury im. J.M. Gosłara w Kolbuszowej, Radni Miasta, ks. Lucjan Szumierz Proboszcz Kolegiaty w Kolbuszowej z lektorami oraz bibliotekarze.

W roku 2022 czytaliśmy „Ballady i romanse” Adama Mickiewicza. W naszej kolbuszowskiej odsłonie Narodowego Czytania udział wzięli uczniowie: Szkół Podstawowych nr 1 i nr 2, Liceum Ogólnokształcącego, Zespołu Szkół Technicznych, Zespołu Szkół Agrotechniczno-Ekonomicznych w Weryni oraz członkowie Dyskusyjnego Klubu Książki działającego przy Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej w Kolbuszowej. Bardzo serdecznie dziękujemy i uczniom i ich nauczycielom za ogromne zaangażowanie w przygotowanie się do tego uroczystego dnia celebrowania czytania najpiękniejszych utworów narodowej literatury. Wszyscy uczestnicy Narodowego Czytania wkładają wiele wysiłku aby zaprezentować się najatrakcyjniej, począwszy od charakterystyki po profesjonalne przeczytanie tekstu. W tym roku, 2 września czytać będziemy „Nad Niemnem” Elizy Orzeszkowej.

Halina Krzych



„Różnorodność świata zwierząt Płaskowyżu Kolbuszowskiego w obiektywie Zbigniewa Kożuchowskiego”

W dniu 9 listopada 2022 roku w budynku dawnej synagogi - Oddziale Edukacji Kulturalnej i Regionalnej odbył się wernisaż wystawy fotografii Zbigniewa Kożuchowskiego. Organizatorem wydarzenia były Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Kolbuszowej oraz Lasy Państwowe Nadleśnictwo Kolbuszowa.

Podczas wernisażu o wybranych gatunkach owadów opowiadał sam autor, a także dr inż. Tomasz Olbrycht z Uniwersytetu Rzeszowskiego.

Wystawa ukazuje różnorodność świata owadów występujących w naszych najbliższych okolicach, na terenie Płaskowyżu Kolbuszowskiego.

Wystawa była czynna do 14 stycznia w godzinach pracy Oddziału. Cieszyła się sporą frekwencją – przez dwa miesiące odwiedziło ją około 2 tysięcy osób.





Kolory jesieni na kolbuszowskich Rozłogach

Jesień kojarzy się na ogół z ponurą pogodą, przygnębieniem, marazmem. Chętniej przebywamy w domu niż na świeżym powietrzu. Jednak w świecie przyrody jest to okres dużej aktywności i przeobrażeń. Zarówno rośliny, jak i zwierzęta przygotowują się do nadchodzącej zimy. Drzewa zrzucają liście, zwierzęta gromadzą zapasy, a niektóre ptaki odlatują do innych krajów. A my, Polacy z wielką pasją rozpoczynamy okres grzybobrania, chwając się naszymi sukcesami w mediach społecznościowych. Jednak najbardziej rozpoznawalnym zjawiskiem jesieni jest zmiana ubarwienia liści drzew. Latem liście są zielone dzięki zawartym w nich chlorofilu. Jesienią są pozbawione składników odżywczych, co powoduje niedobór zielonego barwnika. Jednakże dzięki temu ujawniają się żółte i pomarańczowe barwniki. Z powodu chłodnych nocy, w liściach zachodzą różne reakcje chemiczne z udziałem cukrów, które przyczyniają się do występowania kolorów: czerwonego i purpurowego. To tym substancjom zawdzięczamy różnokolorowe lasy. Niskie temperatury, a także coraz krótsze dni sprawiają, że z drzew zaczynają spadać liście. Ma to na celu ochronę tych roślin przed utratą wody. Duża powierzchnia liści oznacza dużą powierzchnię parowania. Ponieważ zimą gleba zamarza, do korzeni nie doptywa woda. Gdyby drzewa nie pozbyły się liści, groziłoby im wyschnięcie zimą. Piękne są barwy jesieni, zwłaszcza u nas, na terenie Płaskowyżu Kolbuszowskiego, gdzie obserwować możemy wiele różnorodnych gatunków drzew i krzewów. I to właśnie ta różnorodność sprawia, że nasza kraina jesienią spowita jest tą zachwycającą feerią kolorów. O tej różnorodności drzew i krzewów rozmawiam podczas jesiennego spaceru z Andrzejem Wesołowskim, właścicielem Rozłogów.

Jeszcze przed wejściem do arboretum, napotykam na rzadko spotykany krzew „Moszenki Południowe”. Roślina dorasta od 1 do 2 m wysokości, kwitnie od maja do lipca. Groniaste kwiatostany złożone są z motylkowych kwiatów, najczęściej w kolorze żółtym lub pomarańczowo-żółtym, z niewielką brązową plamką na żagielku. Roślina jest silnie miododajna. Późnym latem i jesienią na roślinie pojawiają się owoce – dość duże, błoniaste strąki, które początkowo są czerwone, a z czasem stają się brązowe. Wygląda to bardzo efektownie, zważywszy na to, że owoce utrzymują się na roślinie nawet całą zimę. Kilka kroków dalej, nie da się tego nie zauważyć, aż w oczy kłuje intensywnie czerwony kolor owoców „Oliwnika baldaszkowatego”, jest tu także druga jego odmiana biała. Oliwnik baldaszkowaty pochodzi z Chin i Japonii. To jeden z najciekawszych krzewów, zarówno pod względem wizualnym, jak i smakowym. Niestety Oliwnik, choć niezwykle pożyteczny, wciąż jest mało popularnym i rzadko spotykanym krzewem w naszym kraju. Warto jednak zasadzić tę roślinę w swoim ogrodzie, aby co roku cieszyć się smaczными i ozdobnymi owocami. Są rzeczywiście smaczne, i nie musimy się obawiać, jeśli nasze pociechy będą je skubały z krzaczka, bo jest to owoc nie trujący, nadaje się na galaretki, dżemy i inne przetwory. Trwają prace nad przygotowaniem rośliny do uprawy sadowniczej. Co ciekawe, oliwnik ma zdolność samonawożenia, dzięki czemu krzew może rosnać nawet na zdegradowanym podłożu, jednocześnie je rekultywując.



OLIWNIK BALDASZKOWATY

Kolejnym okazem, który zachwyca swym wyglądem jest „Karagana mongolska”. Nazwa naukowa utworzona została ze zlatynizowanej nazwy mongolskiej tych roślin (khargana). W języku polskim dawniej rośliny te znane były pod nazwami: grochownik, grochówka, sybirka i żółta akacja. Liście ma bowiem bardzo podobne do akacji. Środowiskiem naturalnym Karagany jest Mongolia, jej liście są ogromnym przysmakiem wielbłądów i innych zwierząt roślinożernych, stąd też roślina wykształciła swoisty mechanizm obronny przed obgryzaniem. Są to ostre kolce, twardniejące szczególnie po zrzućeniu liści, wygląda to jak kaktus. Na przełomie maja i czerwca na krzewie pojawiają się urocze, motylkowe, intensywnie żółte kwiaty, zebrane w zwisające kwiatostany. Ze względu na to, że drzewo jest rośliną miododajną, jest często odwiedzana przez pszczoły, zbierające nektar i pyłek. Jest również schronieniem dla ptaków, które lubią budować gniazda w jej gęstych zaroślach. Z kwiatów zawiązują się owoce w kształcie czerwono-brązowych strąków, wygląda to bardzo ładnie na tle intensywnie zielonych listków, które na jesień przybierają barwę żółta. „Karagana mongolska” jest mało popularna w Polsce. A szkoda, ponieważ ten niezwykle atrakcyjny krzew ozdobi każdy ogród, a do tego jest praktycznie niewymagający.

Spacerując po arboretum napotykamy na szczególną piękność, jest to drzewo „Tulipanowca”. Teraz o tej porze roku jest drzewem obsypanym dużymi złotymi liśćmi. Są bardzo rozpoznawalne, trudno je pomylić z innym rodzajem: są w obrysie prawie czworokątne i podzielone na cztery kłapy. Przednia część liścia wygląda, jakby była odcięta. Obupłciowe zielonożółte do siarkowożółtych kwiaty rozwijają się od maja do czerwca i przypominają wielkością i kształtem kwiaty tulipana. Niestety długo musimy hodować drzewo, aby doczekać się jego kwiatów, po raz pierwszy zakwitają drzewa piętnastoletnie. Owoce tulipanowca są również bardzo atrakcyjne, wyglądają jak długie i cienkie wrzecionowate szyszki. Tulipanowiec jest rzadko spotykanym drzewem w naszych ogrodach, można powiedzieć, że jest rośliną kolekcjonerską, pięknie prezentuje się tak jak tu, w arboretum, jako pojedynczy okaz.

Kolory jesieni to nie tylko kolory liści, to także kolory owoców, rośnie tutaj piękna jabłoń rajska, odmiana „Golden Hornet”. To drzewo ozdobne, cechujące się jasnoróżowymi kwiatami i liśćmi, widocznymi dopiero w momencie opadnięcia płatków. Jasnozielone liście jabłoni w okresie jesieni zmieniają kolor na czerwony. „Golden Hornet” wydaje żółte owoce, zazwyczaj w sporej ilości. Cechą charakterystyczną tej odmiany są jej wyprostowane gałęzie i stosunkowo szybki okres wzrastania, będzie ozdobą każdego ogrodu przez cały rok.

W czasie majowego spaceru po arboretum na Rozłogach podziwialiśmy pięknie kwitnącą na biało, wręcz uginającą się od ciężaru kwiecista „Kalinę japońską”. Teraz jesienią, jest nie mniej piękna, jej liście wybarwiły się na głęboki ciemnoczerwony, purpurowy kolor. Warto zaznaczyć fakt, że roślina ta przebarwia liście dużo wcześniej przed ich zrzućeniem, będziemy mogli cieszyć się tym kolorem przez długi czas. Do tego jesienią dojrzewają jej ozdobne owoce w kolorach od czerwonego po



KALINA JAPOŃSKA



PAROCJA PERSKA



HEPTAODIUM CHIŃSKIE



OGNIK SZKARŁATNY

granatowy. Ten wyjątkowy krzew zasługuje na najlepsze miejsce w ogrodzie.

Wiosną, oglądaliśmy także judaszowca, który kwitł na różowo, zwłaszcza oryginalnie to wyglądało, kiedy kwiaty rozwinęły się na pniu drzewka. Teraz jesienią zawiązał już owoce w kształcie strąków, a listki prawie przezroczyste stały się złote i brązowe.

Innym, zasługującym na dużą uwagę, krzewem w tym arboretum jest „Oczar pośredni”. Jest to roślina hodowlana, która powstała poprzez skrzyżowanie oczarów japońskiego z oczarem omszonym. Oczar pośredni przyjmuje pokrój dużego, wzniesionego krzewu lub niskiego drzewka. Pędy, pąki i młode liście są owłosione. Roślina jest znana głównie ze swoich niezwykłych kwiatów oraz jej jeszcze bardziej niezwykłego okresu kwitnienia. Oczar pośredni kwitnie w okresie zimowym – od przełomu stycznia i lutego (czasem nawet od grudnia!) do marca. Teraz jesienią zachwyca żółtymi, pomarańczowymi i czerwonymi listkami. Na Rozłogach znajdziemy także unikatowy – płaczący Oczar japoński „Pendulum”. Kwitnie także zimą, pięknie pachnie. Kwiaty oczarów wytrzymują mrozy do - 12 stopni C. Przy mroźnej pogodzie płatki zwijają się do środka, a rozwijają ponownie przy dodatniej temperaturze. Czynność ta może być kilkakrotnie powtarzana przez roślinę. Ozdobne są również owoce, które dojrzewają dopiero jesienią następnego roku, gwałtownie pękając po dojrzeniu i wyrzucając czarne, błyszczące nasiona na odległość nawet kilku metrów. Mamy tu także „Oczar Wirginijski”, który oprócz tych ozdobnych zalet ma właściwości lecznicze. Dobroczynne działanie składników kory oczaru wirginijskiego, jako pierwsi docenili Indianie. Współcześnie wykorzystywany szczególnie w przemyśle kosmetycznym.

Inną rośliną kwitnącą w lutym jest „Parocja Perska”, należąca także do rodziny oczarowatych. Roślina ma przekrój kulisty, „krzewiasty”, koronę gęstą i rozłożystą i bardzo długie konary, które mają tendencję do skręcania się i zrastania. „Parocja perska” jest przeważnie drzewem wielopiennym. Jej liście są duże, nawet do 20 cm. Gdy są młode, wiosną, mają różowawy odcień, a jesienią przebarwiają się na piękne kolory – od żółci do purpury. Utrzymują się na roślinie nawet do grudnia! No, a potem zakwita, zimą, kiedy wszystkie rośliny zasypiają, ona kwitnie na czerwono!

Kolejnym, pięknie ubarwionym krzewem jest „Heptaodium chińskie”. Ta roślina rośnie w postaci krzewu, ale można ją także uformować na drzewko. Wyróżnia go pora kwitnienia - początek września. Jest obsypany białym i pięknie pachnącym migdałami kwieciami. Po przekwitnięciu krzew owocuje, wtedy stojące wiechy kwiatowe stają się różowe, całość wygląda z odległości jakby krzew zakwitł jeszcze raz, tym razem na różowo! Dodatkowym walorem ozdobnym krzewu jest mocno łuszcząca się kora na kilkuletnich i starszych gałęziach. Jest także miododajny.

Dalej podziwiamy „Cypryśnik błotny”, wiąz górski „Gejsza”, różnokolorowe berberysy, ogniki szkarłatne o ostrych kolcach i jadalnych owocach. „Ogniki szkarłatne” rosną tutaj w skupisku, wygląda to o tej porze roku bardzo dekoracyjnie, ponieważ jest tu kilka ich odmian. Różnią się od siebie kolorami owoców: od złotego, po-



GLEDICZJA TRÓJCIERNIOWA



ORZESZNIK

marańcowego po czerwony. Krzew dosyć wysoki, jego ozdobą są właśnie te barwne jak ogień owoce i kolorowe liście.

Za ognikami, kilka metrów dalej szaleją berberysy, o wielu kolorach i kształtach, a za nimi stoi wysoka, oblepiona dorodnymi kiściami czerwonych owoców „Kalina koralowa”. Ma dosyć duże liście, jesienią są szkarłatnoczerwone. Owoce w postaci surowej są niejadalne, a nawet trujące (szczególnie dla dzieci), ale po przemrożeniu i odpowiednim przygotowaniu, nadają się na przetwory.

Innym, bardzo oryginalnym drzewem na Rozłogach jest „Gledicja trójcierniowa”, należy do rodziny bobowatych, pochodzi z Ameryki Północnej. W Polsce uprawia się ją jako roślinę ozdobną. „Gledicja trójcierniowa”, nazywana także iglicznią lub trójiglicznią, to mocno cierniste drzewo dorastające do około 20 m wysokości. Ciernie gledicji osiągają nawet do 20 cm długości, wyrastają gęsto z konarów i pni rozgałęziając się - nadają drzewu „groźny” wygląd. Młode mają jasnozieloną barwę, z czasem drewnieją i stają się brunatne. Są bardzo twarde, były wykorzystywane przez Indian do robienia szpeł i strzał. Liście kojarzą się z liśćmi robinii akacjowej. Kwiaty drobne, zielonkawe nie są jakoś szczególnie urokliwe, ale za to stanowią ogromny pożytek dla pszczoł. Są miododajne i nektarodajne. Jesień uatrakcyjnia Gledicję, pojawiają się wtedy jej owoce: spłaszczone, szerokie, powykęcane strąki. Osiągają do 40 cm długości. Nadają drzewu oryginalny wygląd. Są chętnie wykorzystywane w kompozycjach florystycznych.

Bardzo ciekawym okazem jest tutaj „Orzesznik”. Roślina z rodziny orzechowatych, naturalnie występuje we wschodniej Części Ameryki Północnej i Azji. Nazywany bywa także „Przeorzechem” lub „Hikorą”. Jesienią liście orzesznika przebarwiają się wspaniale na żółte tony. A orzeszki są małe, we wrześniu dojrzewając pękają, ale długo utrzymują się na drzewie i spadają przez całą zimę.

Warto także wspomnieć o dwóch gatunkach brzozy: „Dahurskiej” i „Chińskiej”. „Dahurska” charakteryzuje się oryginalną ciemnobrązową korą, złuszczającą się u starszych drzew cienkimi, pozwijanymi płatami i atrakcyjnymi, długimi na 3 cm, cylindrycznymi owocostanami. Wygląda to bardzo ładnie, szkoda, że gatunek ten obecnie jest dość rzadko spotykany w Polsce. Brzoza „Chińska” różni się szczególnie kolorem kory, jest biała z lekko różowawymi przebarwieniami. Gatunek ten w porównaniu z innymi brzozami dość dobrze rośnie w miejscach zacienionych. Dosyć efektownie przebarwia się w jesieni. Drewno tego gatunku jest niezwykle twarde i wartościowe. Już od dawna wiadomo także, że energia, którą przekazuje brzoza likwiduje stres i wycisza. Dodaje także optymizmu. Dodatkowo według naukowców jonizuje ujemnie, czyli neutralizuje jony dodatnie, generowane przez spaliny, urządzenia elektryczne oraz inne zanieczyszczenia, tym samym dobroczynnie wpływając na nasz organizm. Warto więc mieć chociaż jedną brzozę w swoim ogrodzie.

Mówiąc o kolorach jesieni, nie można pominąć „Ambrowca”. „Ambrowiec amerykański”, bo taki gatunek w Polsce występuje, to jedno z najpiękniejszych

drzew ozdobnych z liści. Jego blaszki liściowe są głęboko powcinane, dłoniasto-klapowane, robią szczególne wrażenie jesienią, gdy przebarwiają się na kolor pomarańczowy, szkarłatny i fioletowoczerwony. Liście po wybarwieniu bardzo długo utrzymują się na pędach, nawet do połowy listopada. Dodatkową ozdobą są jego owocostany, kulki z kolczastymi wyrostkami zwisają do dołu jak pomponiki, dekorując roślinę aż do wiosny.

Wśród mniej roślących drzew w arboretum wzrok przyciąga „Katalpa” inaczej Surmia Bignoniowa, odmiana „Aurea”, czyli Katalpa żółta, zwana bywa również złotolistną. Określenie to wzięło się od jej koloru liści. W odróżnieniu od innych odmian surmii, liście Aurea, nie są w kolorze soczystej zieleni, a żółci, która przypomina złoto. Sercowate, złotawe liście rosną dopiero na początku lata i osiągają długość nawet 30 cm. Te piękne drzewa kwitnące na biało w ciągu roku przechodzą wspaniałą metamorfozę. Wiosną i latem zachwycają jasnymi kwiatostanami. Zimą zaś szare otoczenie jest ożywione przez brązowe strąki, które na wiosnę są zastępowane przez nowe kwiaty. Surmia żyje i cieszy oko przez cały rok! Jest tu jeszcze „Katalpa wielkokwiatowa”, jej kwiatostany są o wiele większe od innych odmian, osiągają do 20 cm, liście i strąki są także okazalsze. Ponadto roślina jest miododajna i doskonale odstrasza komary.

Egzotycznym krzewem, który kwitnie we wrześniu jest „Leycesteria formosa” o jasnych, żółtozielonych liściach, młode listki są delikatnie purpurowe. Ozdobą są przede wszystkim piękne girlandy kwiatów, zebrane w zwisające kłosy. Kwiaty białe, z purpurowym okazałym przykoronkiem, pachnące lekko karmelem. Na jesień Leycesteria wytwarza piękne, karminowe jagody, które chętnie zjadają ptaki. Jest to roślina miododajna, i tak jak rosnąca tu obok „Budleja Dawida” wabi pszczoły i motyle.

U pana Andrzeja Wesołowskiego na Rozłogach spotkamy także inne rośliny egzotyczne, schowane w zaciszu ogrodu. Mamy tu: japońskiego „Bananowca Musa basjoo”, „Figę”, „Niepokalanka-Pieprz Mnisi”, „Albicję”, „Poncyrię trójlistkową”, „Pieprz Syczański”, „Zawilca japońskiego”. Z wymienionych warto zwrócić uwagę na „Albicję” i „Poncyrię trójlistkową”. Są to rośliny bardzo rzadkie w naszych ogrodach. „Albicja” inaczej nazywana drzewem jedwabnym lub też - chińskim drzewem szczęścia. To niewielkie drzewko pochodzi ze wschodniej Azji. Jest cenione na całym świecie za niekwestionowane walory ozdobne. Liście przypominają wyglądem zwiewne wachlarze – są nieco podobne do mimozy, są duże i srebrzyste. Bardzo ozdobne są również kwiaty tej rośliny – przypominają pompony zbudowane z różowo-białych nitczek długich na 5 cm, są bardzo wonne i świecą w nocy. Warto jednak podkreślić, że możemy to zaobserwować jedynie na przełomie września i października, i to po mniej więcej roku uprawy.

„Poncyria trójlistkowa” to roślina należąca do cytrusów, jest mrozoodporna więc nadaje się do uprawy w Polsce w miejscach zacisznych. Kwitnie wiosną, kwiaty koloru białego pokrywają wszystkie młode pędy krzewu – Poncyria wygląda wtedy bardzo pięknie i nie odbiega wcale od innych krzewów ozdobnych. To, czym ten krzew nas może najbardziej zadziwić to owoce. Po-



BANANOWIEC



FIGA



ZAWILEC JAPOŃSKI

jawiają się wczesnym latem i dojrzewają aż do początków jesieni, z wyglądu nie różnią się praktycznie niczym od mandarynek! Ich ilość na krzewie bardzo często jest duża, tak samo jak duże jest zdziwienie osób, które po raz pierwszy zobaczą ten krzew w fazie owocowania. Owoce, mimo że piękne i bardzo aromatyczne, są uważane za niejadalne, choć Poncyria posłużyła do stworzenia mrozoodpornych mieszańców, których owoce są smaczne. Jesienią roślina silnie wybarwia liście, co w połączeniu z pomarańczowymi owocami daje naprawdę piękny widok.

Oprócz jesiennych krzewów i drzew na Rozłogach spotkać można także kwitnące jeszcze byliny. Mamy tu „Cyklameny ogrodowe”, są mniejsze od tych hodowanych w doniczkach, ale też pięknie wyglądają. Płytko się korzenia, nie przeszkadzają im korzenie drzew, doskonale nadają się więc do podsadzania iglaków wszechobecnych w naszych ogrodach. Bardzo oryginalną rośliną jest „Zawciągowiec zwyczajny”. Wartościowa bylina o intensywnie kobaltowo niebieskich kwiatach, które rozwijają się późnym latem i jesienią. Zawciągowiec jest godny uwagi ze względu na późny termin kwitnienia oraz walory wizualne: obfite kwitnienie, wyrazistą barwę kwiatów i liście przebarwiające się jesienią na szkarłatne odcienie. Zawciągowiec osiąga do 30 cm wysokości, rozrasta się przez kłącza tworząc przyciągające uwagę, atrakcyjne kobierce. Pięknie wygląda, jeszcze kwitnąca „Fuksja magellańska”, *Fuchsia magellanica* „Riccartonii” - to wyjątek wśród fuksji. Jedyna, która nadaje się do całorocznej uprawy w polskich ogrodach. Część nad-

ziemna przemarznie, natomiast wiosną odbuduje się od korzenia. Dlatego przed zimą warto miejsce posadzenia, po obcięciu pędów, obłożyć gałązkami świerkowymi i np. liśćmi. Dużym zaskoczeniem ze względu na termin kwitnienia może być „Zawilec japoński”, który kwitnie właśnie jesienią.

Wszystkie te wymienione rośliny znajdujące się w arboretum na Rozłogach, rzeczywiście tworzą barwny kobierzec. Ale nie jest to jeszcze kompletny obraz jesiennych kolorów. Brakuje tu wielobarwnych dębów i klonów. Na temat tych dostojnych drzew rozpisywali się i poeci i przyrodnicy. I tak naprawdę historia życia ludzi tu mieszkających jest też z tymi drzewami mocno związana. To teren dawnej Puszczy Sandomierskiej porośniętej ogromnymi borami dębowymi, gdzie i złote klony szumiały swymi dorodnymi gałęziami. Dzisiaj wiele z tych dawnych gatunków dęba i klonu zostało zmodyfikowanych. Powstały odmiany hodowlane. Możemy je podziwiać także tu na Rozłogach. Wzdłuż ogrodzenia przy szosie, rozpoznajemy z daleka „Dęby czerwone”. Mają duże, ostro powcinane liście, a ich żołądźcie są okrągłe z widocznymi żyłkami. Spotkamy tu także „Dęba błotnego”, który jest jednym z najszybciej rosnących dębów. Dziesięcioletnia roślina przy odpowiednich warunkach jest pięciometrowym drzewem ze stożkową koroną. Zawsze mają prosty pień, w górnej części korony gałęzie skośnie wzniesione, dolne lekko przewisające, liście latem ciemnozielone i lśniące, jesienią pięknie przebarwiają się na czerwono. Przebarwanie następuje od wierzchołka - przez pewien czas górne partie korony są jaskrawo czerwone podczas gdy liście na dolnych konarach jeszcze zupełnie zielone.

W arboretum na Rozłogach, jak podaje pan Andrzej rośnie ponad 70 odmian klonu, są to oczywiście klony uprawne, tzw. kultywary. Sama słowo „kultywar” jest jeszcze mało zakorzenione w naszym języku i wywodzi się z połączenia łacińskich słów *cultus* (uprawny) i *varietas* (odmiana), chociaż prawdopodobnie dotarło do nas za pośrednictwem języka angielskiego (od *cultivar* - *cultivated variety*). Kultywar to więc dosłownie „odmiana uprawna” - roślina wyselekcjonowana przez człowieka do uprawy, a do tego wyróżniająca się określonym zbiorem cech, które są identyczne dla wszystkich przedstawicieli kultywaru. To właśnie nowe, niespotykane w innych szczepach krzewów cechy są motywacją do tworzenia nowych kultywarów. Może to być większa odporność na czynniki atmosferyczne lub niektóre choroby czy insekty. Może to być zdolność do wydawania wcześniejszych lub bardziej obfitych plonów. Rośnie tu klon o fioletowych liściach wiosną (*Acer palmatum*), które na jesień stają się zielone, odwrotnie jak w przypadku innych drzew. Klon srebrzysty „*Laciniatum Wieri*”, ma jasnozielone liście, które od spodu pokryte są srebrnymi włoskami. Niezwykle barwnie prezentują się tu „Klony czerwone”, „Klony palmowe”, „Klon tatarski” z jego podgatunkiem „Klonem Ginnala”.

Podziwiając te różnorodne odmiany hodowlane klonu, nie można nie myśleć o tym podstawowym materiale źródłowym do stworzenia kultywarów, tj. o „Klonie pospolitym”. Temu drzewu poświęcę więcej uwagi w następnym podrozdziale artykułu.

Klon pospolity

Tak naprawdę to on taki zwyczajny nie jest. Jak pisze Maria Ziółkowska, polska pisarka, autorka utworów dla młodzieży, cudowna bajarka o świecie przyrody w książce „Gawędy o drzewach”, klon jest drzewem prastarym. Na terenach dzisiejszej Europy i Azji odnaleziono szczątki klonu z okresu paleocenu, czyli rósł około 70 mln lat temu. Dzisiaj na całym świecie występuje wiele gatunków różnych, drzewiastych i krzewiastych klonów. W Polsce rosną dziko tylko 3 gatunki: „Klon zwyczajny”, czyli pospolity, *Acer platanoides*, „Klon polny”, czyli paklon, *Acer campestre*, i „Klon jawor”, *Acer pseudoplatanus*. W naszej kulturze istniało wiele wierzeń, zwyczajów i obrzędów związanych z siłami magicznymi przypisywanymi klonowi. Zresztą niektóre powiedzonka stosujemy do dzisiaj. Wierzą, że klon posiada moc odpędzania złych mocy. Maria Ziółkowska przytacza kilka takich przykładów. Klony – od kołyski do grobowej deski – wyznaczały człowiekowi punkty zwrotne życia: rozpoczynał bowiem w jaworowej kołysce (narodziny), a kończył na klonowej grobowej desce (śmierć). Między tymi kluczowymi wydarzeniami spotykamy się z ukochaną osobą „pod ulubionym jaworem”. A po takim spotkaniu może być potrzebna nowa jaworowa kołyska, a po niej klonowa deska. Grobowa deska to przedmiot całkowicie zapomniany, obecny tylko w powiedzeniu: „Będę Cię kochać do grobowej deski”. O co chodzi w tym powiedzeniu? Na grobową deskę kładziono umierającego, który miał odejść w zaświaty. Deska musiała być oczywiście klonowa – gładzona i niemalowana. Deska to nie trumna, jakby się mogło wydawać. Początkowo surowa, później z podpórkami w formie ławy, na niej kładziono ludzi umierających, ażeby mieli lżejszą śmierć, lub zmarłych, by ich przygotować do pogrzebu. Często z drewna klonowego wykonywano również trumny, które broniły pogrzebanego już człowieka przed nagabywaniem przez diabła. Za najpraktyczniejsze uchodziły trumny z desek klonowych i sosnowych, gdyż pierwsze odganiały diabła od zmarłego, a drugie nie pozwalały wychodzić nieboszczykowi z grobu i straszyć żywych. Znamy także piosenkę „Umarł Maciek umarł”, która dalej w tekście opowiada, że ów Mazur Maciek leży właśnie na grobowej desce. W tę deskę, co jakiś czas stukano, by odegnać czyhającego na duszę szatana. Zwyczaj ten dał początek żywemu do dziś przesądowi pukania w niemalowane drzewo w celu odpędzenia złego. Z klonem związana jest również inna polska paremia, według której pogoda podczas zimy uzależniona jest od pory opadnięcia klonowych liści z drzewa: „Kiedy klon wcześniej opada, sroga zimę zapowiada”.

Klon jest drzewem o smukłym, białoszarym pniu, z licznymi grubymi konarami, z bujną koroną dość dużych, pięciopalczastych liści. Zakwita w końcu kwietnia zielonawożółtymi, gwiazdkowatymi kwiatami, z których potem wykształcają się nasionka, często zwane „skrzydlakami”, lub popularnie „noskami”. Kwiaty, szczególnie jaworu, są chętnie odwiedzane przez pszczoły i inne podobne im owady. Młody klon pnie się dość szybko w górę, ale osiągnąwszy ok. 30 metrów wysokości przestaje rosnąć. Żyje najwyżej 150 lat. Jego drewno

ma oryginalną barwę: jest jasne, żółtawobiałe z różowym odcieniem. Ponieważ daje się łatwo polerować, a jest twarde, elastyczne i rezonansowe, stosowane było w meblarstwie i wyrobie instrumentów muzycznych.

„Klon jawor” różni się od „Klonu pospolitego”. „Klon jawor” to wysokie okazałe drzewo liściaste o charakterystycznej korze wyróżniającej go na tle innych klonów, przypominającej nieco korę platana. Znalazło to nawet odzwierciedlenie w łacińskiej nazwie gatunkowej jawora - *pseudoplatanus*, co można przetłumaczyć jako „fałszywy platan”. Jest największym rodzimym klonem i jednym z największych przedstawicieli swojego rodzaju. Liście klonu jaworu są dłoniasto powcinane, podobnie jak u klonu pospolitego, lecz nieco inaczej skrojone, a także gęściej i drobniej piłkowane. Ich ogonki nie zawierają soku mlecznego. Blaszki liściowe są ciemnozielone po stronie wierzchniej, od spodu zaś jaśniejsze i matowe, z włoskami wokół wyraźnych żyłek. U czystego gatunku odcień „podszewki” jest niebieskawozielony, u odmian może być np. różowawy. We wczesnej młodości jawor, odwrotnie jak klon, rośnie powoli. Dojrzałość, możliwość rodzenia owoców, osiąga dopiero po 20-30 latach. Potem co 2, 3 lata wydaje obfite nasiona, i jeszcze rośnie. Kończy wzrastanie między 80 a 100 rokiem życia, a żyć może 400 a nawet 500 lat. Jesienią jawory przebarwiają się na piękny złocisty kolor.

Drewno jaworu jest bardzo jasne, żółtawobiałe do niemal białego, połyskujące, o wyraźnych słojach i widocznych gołym okiem naczyniach. Drewno żółknie pod wpływem światła słonecznego. Jest twarde, ale trudno łupliwe i bardzo elastyczne, z natury atłasowo połyskliwe, daje się łatwo wygładzać i polerować, używane jest więc w wykwinnym stolarstwie na forniry. Drewno jaworowe nie może być jednak stosowane na zewnątrz, ponieważ nie wykazuje odporności na warunki atmosferyczne. Drewno jaworu cenione było szczególnie przez kolbuszowskich stolarzy, zwłaszcza w produkcji tych słynnych mebli kolbuszowskich. A ściślej mówiąc do tworzenia intarsji. W opracowanych przez Stefana Sienickiego „Meblach Kolbuszowskich”, w rozdziale opisującym cechy tzw. „kolbuszowskiej roboty” wymienia się 42 przykłady mebli, i tylko w dwóch przykładach opisywanych mebli, nie użyto drewna jaworowego do wykonania intarsji. Termin „Intarsja” w „kolbuszowskiej robocie” określany był terminem „nasadzanie”. Jak Sienicki pisał ...*“W meblach kolbuszowskich najbardziej powszechnym drewnem do intarsji, czyli nasadzania była śliwina, w paskach szerokości od 0.5-1 cm do 2 cm, ułożona przeważnie prostopadle do kierunku wstęgi, z dwustronnym otokiem żyłką jaworową”*. Dzisiaj nie ma już kolbuszowskich meblarzy, nie ma też mebli kolbuszowskich. Ale drewno jaworowe jest nadal cennym materiałem. W meblarstwie bardzo cenione bywa drewno z zarośniętymi pączkami śpiącymi widocznymi na przekroju stycznym w postaci jakby pawiego oka; nosi ono nazwę „ptasie oczko”. Jest stosowane wyłącznie w meblarstwie artystycznym. Przydatne do wyrobu węgla drzewnego, cenione w lutnictwie m.in. Stradivarius z drewna klonu zwyczajnego wykonywał dolne pokrywy swoich skrzypiec. Klon jest ceniony wśród gitarzystów, bowiem wykonuje się z niego topy gitar, podstrunnice czy gryfy.

Zbiórka niepodległościowa

19 listopada 2022 roku na Białkówcę odbyła się zbiórka niepodległościowa zuchów z Hufca ZHP Kolbuszowa im. Janka Bytnara „Rudego”. Zaczęła się od „Płasu Kolbuszowskiego” w kółku. Następnie

dostaliśmy karty patrolowe i mapy. Pracowaliśmy w 8-osobowych grupach, w których był jeden patrolowy i jeden mapowy. Zabawa polegała na chodzeniu po lesie z mapą i wykonywaniu zadań, np. budowa

ogniska, bieg z bronią, rozwiązanie krzyżówki patriotycznej i trimino. Najtrudniejszy był szyfr, który rozwiązaliśmy z pomocą doświadczonego kolegi. Wszystkie drużyny zaliczały punkty po kolei (1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9), a nasza drużyna szła na odwrót (9, 8, 7, 6, 5, 4, 3, 1, 2). Dzięki temu ominęliśmy zatłoczone miejsca na początkach trasy. Było zimno, ale nikomu to nie przeszkadzało. Po dotarciu na metę, każdy dostał ptasie mleczko. Śpiewaliśmy przy ognisku harcerskie piosenki i graliśmy zmarznięte nogi i ręce. Jedliśmy też drugie śniadanie z gorącą herbatą. Następnie puszczailiśmy iskierkę przyjaźni. Potem wszyscy rozjechali się do domów pełni miłych wspomnień ze spaceru po lesie. Czekamy na następną taką zbiórkę! Czuwaj!



RYS. MATYLDA FRONT

ZUCHENKI ZOSIA TOMCZYK I MATYSIA FRONT (LAT 9)
4 GROMADA ZUCHOWA „KROKODYLKI”

„Jak pomóc naszym skrzydlatym przyjaciołom?”

Spotykając się w rodzinnym gronie w okresie zimowym, często snujemy opowieści w stylu „kiedyś to były zimy...”. Może faktycznie teraz zimą nie ma kilkunastostopniowych mrozów i śniegu jakby mniej, ale i tak niezmiennie zauważamy w przyrodzie zjawisko przygotowywania się zwierząt do tego cięższego dla nich okresu. Część ptaków odleciała, część została, a jeszcze inne przyleciały do nas z północy.

Te ptaki, które wędrują na południe, do tzw. ciepłych krajów wrócą do nas dopiero wiosną, ale te które zostają u nas, muszą sobie radzić w warunkach braku pożywienia. Często chcąc pomóc naszym skrzydlatym przyjaciołom, a przy okazji trochę ich popodglądać, decydujemy się na zimowe dokarmianie.

Pamiętajmy o kilku ważnych zasadach, tak żeby nie tylko ptaki cieszyły nasze oko, ale i żeby wykładane przez nas pożywienie cieszyło ich głodne brzuchy. Przede wszystkim należy dawać ptakom to, co występuje w naturze, na przykład ziarna zbóż i słonecznika, wyłuska-



ne orzechy, za którymi ptaki wprost przepadają, a będące świetnym źródłem tłuszczu, podobnie jak surowa, niesolona słonina. To bardzo ważne, żeby ptakom dawać nieprzetworzone pożywienie.

Ważny w dokarmianiu jest też termin - ptakom pomagamy dopiero wtedy, gdy same nie mogą sobie poradzić i znaleźć naturalnego źródła pożywienia, gdy pojawi się pokrywa śnieżna. Pamiętajmy,

że kiedy już się zdecydowaliśmy na dokarmianie, musimy robić to regularnie. Przecież nikt z nas nie chciałby z dnia na dzień, bez uprzedzenia, zostać bez źródła pożywienia. No i po trzecie, karmniki należy regularnie czyścić z resztek pożywienia i odchodów

Warto na przyszłość pomyśleć o tym, aby wiosną, sadząc krzewy w naszym przydomowym ogrodzie wsadzić kilka owocodajnych krzewów, na przykład kaliny, lub jarzębiny. Takie krzewy mają piękne, kolorowe owoce, a dodatkowo stanowią świetne, naturalne źródło pożywienia dla ptaków. Jeśli będziemy regularnie karmić ptaki w tym ciężkim dla nich okresie, odwdzięczą się nam swoją obecnością i wesołym gwarem w karmniku, aż do nadejścia wiosny...

Tekst: Kinga Mazur

Zdjęcia: Stefan Lewandowski



JAK MĄDRZE DOKARMIĆ PTAKI?

DZWONEK

PYZA

KARMIK TUBOWY NA ORZECZY

Ptaki duże z parków miejskich
np. łabędzie nieme, kaczki krzyżówki

Ptaki małe, które przylatują do karmnika
np. sikory, kosy, dzięcioły, kowaliki, gile, dzwońce, raniuszki, mazurki, wróble, szczygły, grubodzioby

GDZIE DAJEMY JEŚĆ

Nie wrzucamy pokarmu do wody!

W miejscu spokojnym i czystym (na trawniku w parku, nad brzegiem rzeki).

GDZIE USTAWIAMY KARMIK

Z daleka od zagrożeń (dróg, legowiska psa, kota, dużej liczby ludzi, okien budynków).

W miejscu dobrze widocznym, umożliwiającym swobodne wzbicie się do lotu. Dobrze, aby w pobliżu było drzewo czy krzew, gdzie ptaki mogą usiąść, zjeść i odpocząć.

Pamiętaj!

- Dokarmianie zacznij dopiero, gdy będzie duża pokrywa śniegu
- Jeśli zaczęłeś dokarmiać ptaki, rób to regularnie i pilnuj, żeby jedzenia nie zabrakło
- Nie używaj soli!
- Nie dokarmiaj chlebem
- Nie syp nadmiaru karmy
- Obok karmnika postaw poidelko ze świeżą wodą
- Dbaj o higienę karmnika i miejsca dokarmiania

CZYM DOKARMIAMY

Ziarna zbóż (słonecznik pastewny, proso, kasze, kukurydza, płatki owsiane)

Gotowane warzywa – pokrojone, **nie solone!** (marchew, ziemniaki, buraki, kapusta)

Słonina (niesolona, nie może wisieć dłużej niż 2 tyg.)

CZYM DOKARMIAMY

Pyzy dla ptaków (gotowe mieszanki tłuszczowo-nasienne w formie kul lub dzwoneczków w papierowym kubku)

Orzechy (włoskie, ziemne niesolone, laskowe) oraz **suszone owoce** (niekandyzowane)

Zastanów się

Warto posadzić w ogrodzie rodzime krzewy, które mogą być nie tylko ozdobą, ale także psiącą stołówek w ziemi – np. bez koralowy, jarząb pospolity, dereń, dzika róża, bez czarna, kalina koralowa, głóg, tarnina

Opracowanie: Lasy Państwowe
Projekt graficzny: Polska Grupa Infograficzna



Antoni Kaczmarczyk - mój Tato, lekarz z powołania

Mój Tato urodził się 19 maja 1933 roku w Makowie Podhalańskim, małym miasteczku nad pełną uroku, górską rzeką Skawą.

Przyszedł na świat w bardzo biednej rodzinie, a czasy były ciężkie.

Pisząc o biednej rodzinie mam na myśli ten wymiar użytego określenia, który w pełni rozumieją już tylko najstarsi żyjący górale.

Usłyszałem kiedyś mądre słowa: „ciężkie czasy rodzą silnych ludzi, a silni ludzie tworzą dobre czasy”. Losy mojego Taty i jego Rodziny są tego najlepszym świadectwem.

Jego ukochane siostry: Maria, Barbara, bracia Jan i Stanisław wyłącznie dzięki wrodzonej inteligencji i nieprzeciętnej pracowitości potrafili zbudować dla siebie lepszy świat, a swoim dzieciom stworzyli dobre czasy, za co my, ich dzieci, jesteśmy bardzo wdzięczni.

Tato był wyjątkowo uzdolniony i ... niezwykle przystojny. Pamiętam wizytę w Jego rodzinnym miasteczku: wspinaemy się na wysoką górę, na której stał rodzinny dom Kaczmarczyków i spotykamy starszą panią. Ojciec wita się z nią, kobieta przygląda się mu uważnie i mówi: - „Jontuś! Tyś był taki piękny chopoczek! Aleś wyrósł na jesse piękniejszego chłopa!” Nic więc dziwnego, że dla takiego „pięknego i mądrego chopocka” jego mama, a moja Babcia, wymarzyła sobie karierę duchownego.

Po ukończeniu szkoły podstawowej w Makowie Podhalańskim, dzięki ustawicznej pomocy kilku nauczy-

cieli i makowskiej parafii, zaopatrzonej w jedną parę mizernych butów (ktoś mu je ukradł pewnego marcaowego popołudnia, gdy z kolegami bosobos grali na krakowskich Błoniach, potem przez ponad dwa tygodnie Tato chodził chowając boscostopy, dopóki jeden z księży wykładowców nie podarował mu własnych butów), Tato trafił do krakowskiego Liceum Ojców Pijarów, szkoły o bardzo wysokim poziomie nauczania. W trudnych stalinowskich czasach pełniło ono funkcję szkoły przygotowującej do wstąpienia do stanu duchownego. Ojciec z niezwykłą wdzięcznością i szacunkiem wspominał te krakowskie czasy. Wykładowcy tej średniej szkoły, profesoria Uniwersytetu Jagiellońskiego i duchowni, dali mu najcenniejszy dar - wybitną i wszechstronną jak na owe czasy wiedzę z wielu dziedzin. Tato - o czym wie niewiele - był znakomitym historykiem, chemikiem, biologiem. Jedno tylko się nie udało tej szkole - nie wstąpił po jej ukończeniu do seminarium duchownego i nie został księdzem, choć o tym marzyła Jego mama. Wśród Jego kolegów ze szkolnej ławy znajdziemy znakomitych przedstawicieli stanu duchownego, np. biskupa Kazimierza Górniego.

Księdzem Tato nie został, bo spotkał na swej drodze moją śp. Mamę - Helenę, Hałę Lenart z Suchej Beskidzkiej. Być może stracił na tym stan duchowny, ale na pewno zyskał stan medyczny.

W latach 1952-1955 Tato pobierał nauki w szkołach felczerskich w Gorzowie Wielkopolskim i Krakowie. Po ich ukończeniu podjął pracę w Pogotowiu Ratunkowym w Suchej Beskidzkiej. Tato bardzo lubił tę pracę, ale nie osiadł na laurach i kształcił się dalej: ukończył krakowską Akademię Medyczną z bardzo dobrym wynikiem (studiował w latach 1963-1969); był to dla naszej rodziny trudny czas, a Tato, by ratować

skromny budżet, soboty i niedziele poświęcał nie tylko na naukę, ale i pracę w Pogotowiu.

W czasie studiów Tato pobierał stypendium i musiał je odpracować, w 1969 roku trafił na staż do kolbuszowskiego szpitala. To tu utwierdził się w swym powołaniu, praca lekarza stała się dla niego sposobem na szczęśliwe, pełne pasji życie. Często z Mamą zastanawialiśmy się, kim mógłby być Antoni Kaczmarczyk, gdyby nie był lekarzem? Odpowiedź zawsze była jedna: mógł być tylko lekarzem...

Tato kierował ośrodkami zdrowia w Niwiskach (mieszkaliśmy w pałacu hrabiego Hupki), w Lipnicy i w Dzikowcu, pracując jednocześnie w szpitalu. Na oddziale wewnętrznym naszego szpitala pełnił funkcję zastępcy ordynatora, którym w owym czasie był niezastąpiony śp. doktor Ryszard Dutkowski. Oddział pod Ich kierownictwem, ze świetną załogą, był bardzo ceniony nie tylko w najbliższym terenie; gdy mój syn,



absolwent medycyny, podejmował pracę, usłyszał od przyszłego szefa piękne słowa o swym Dziadziu: musi pan wiedzieć, że gdy pana dziadek z doktorem Dutkowskim ordynowali w kolbuszowskim szpitalu, to kolbuszowski oddział interny był uważany za jeden z najlepszych, o ile nie najlepszy na Podkarpaciu.

Praca, praca, praca.... Tato poświęcał jej każdą chwilę, widywałem Go w przerwach między dyżurami, gdy wpadał do domu, by się przebrać i wziąć prysznic. Tato cały czas się uczył: szybko zdobył stopnie specjalizacji z interny, był na bieżąco z wiedzą medyczną biorąc udział w kursach. I tak minęło 60 (tak, sześćdziesiąt!) lat Jego pracy, z którą ciężko Mu było się rozstać.

Patrząc wstecz i uważam, że Tato miał w życiu trzy pasje i trzy hobby: pasje to praca w pogotowiu, praca w ośrodkach, praca w szpitalu, zaś Jego hobby to jazda samochodem - wypoczywał za kółkiem przemierzając drogi i bezdroża, a rzadko wybierał proste ścieżki.

Kochał książki, pochłaniał je, każda dziedziną Go interesowała. Gdy trafił na ciekawą lekturę, bez wahania poświęcał jej noc, by rano od razu iść do pracy. Kolejne Jego hobby to grzybobranie: był wyjątkowym grzybiarzem, obdarzonym niesamowitą, instynktowną znajomością topografii lasu. Czasem wydawało mi się, że gdy wchodzi, grzyby wychodzą Mu na spotkanie. Nie było miejsca, ostępu, żeby go nie spenetrował. Boję się, że jeśli tam, w górze, są grzyby, Tato już je wybierał...

Po śmierci mojej Mamy w 2001 roku Tato zamieszkał z nami i byłem



z Nim do 11 listopada 2022 roku, gdy zmarł w swoim ulubionym mieszkaniu, w swoim łóżku.

Tato najbardziej nie lubił narzekania i biadolenia. Kiedy słyszał, że ktoś uzala się, że jest źle, że bieda, że strach żyć, tracił do takiej osoby serce i mówił, że trzeba przeżyć to, co było Jego udziałem, by mieć prawo mówić o biedzie i trudnych czasach. Wiedział, że można wyjść z każdej ciężkiej sytuacji i dorobić się wszystkiego. Dedykował wszystkim swój ulubiony utwór:

Psalm 113 – Bogu wielkiemu i łaskawemu chwwała!

Alleluja.

Chwalcie, słudzy Pańscy,

chwalcie imię Pana:

Niech imię Pańskie będzie błogosławione

odtąd i aż na wieki!

Od wschodu słońca aż po zachód jego

niech imię Pańskie będzie pochwalone!

Pan jest wywyższony ponad wszystkie ludy,

Jego chwala sięga ponad niebiosa.

*Któż jak nasz Pan Bóg,
co siedzibę ma w górze,
co w dół spogląda
na niebo i na ziemię?*

*Podnosi nędzarza z prochu,
a dźwiga z gnoju ubogiego,
by go posadzić wśród książąt,
wśród książąt swojego ludu,
Ten, co niepiętnej każe mieszkać
w domu
jako pełnej radości matce synów.*

Jaki był Antoni? Uśmiechnięty, szczodry, pełen życia, prostolinijny, szczery, zupełnie pozbawiony jakiegokolwiek zazdrości czy zawiści. Nigdy, nigdy się nie skarżył. Do końca kochał życie i chciał żyć, mimo tygodni, w czasie których potrzebował już opieki. Dziękował za nią zawsze, chwalił, jak jest mu dobrze, w jakim ładnym miejscu żyje. Dziękował Bogu za wszystkie dary, które sprawiły, że miał udane życie. Był niezwykle przywiązany do Anioła Stróża, którego opiekę, jak mówił, wymodliła dla Niego Jego Mama Aniela i któremu zawdzięczał ochronę w najtrudniejszych chwilach, a przeżył takich trochę.

Spoczywaj w pokoju, Tato.

MIROSLAW KACZMARCZYK



Fiszki z Macondo*

„Gorzko, gorzko” / Joanna Bator

Można zacząć od końca. Przed lekturą – zajrzeć do spisu treści. Spis treści najczęściej mówi, cóż to będzie za książka. Berta, Barbara, Violetta, Kalina, Berta, Barbara, Violetta, Kalina... Widać tam, że historia czterech kobiet przeplata się patchworkowo, raczej pulsująco, bardziej w rytmie zdarzeń i emocji, niż w rytmie upływających lat i dekad.

Co na to narratorka – Kalina – autorka sagi, ostatnia z bohatererek, w losach której spiętrzyły się i przygniotły szczęścia, nieszczęścia, zasługi, zbrodnie i tajemnice matki, babci i prababki? Co na to kobieta, na której życie wymusiło rozwikłanie ściśniętego węzła cierpień, miłości, szalonych decyzji, ucieczek, powrotów?

Być może niektórych z was zirytuje nieliniarna czasowość tej sagi i zapytacie, po co tak skakać z przeszłości w przyszłość i z powrotem, czy nie można było tego poukładać po kolei. Jednak im głębiej wchodzić w opowieść o nas czterech, tym mocniejsze jest moje wrażenie, że żyjemy z prądem czasu i pod prąd, targani przeszłością i przyszłością jednocześnie, niezakorzeni w znikającym teraz. Paradoksalnie, im odleglejsza przeszłość mojej rodziny, tym łatwiej mi było ją odtworzyć, i dlatego historia Berty, mojej prababki, sprawia wrażenie tak porządnej. Ale im bliżej mnie samej, tym opowieść bardziej przypomina życie, które zawsze dzieje się w trzech czasach jednocześnie, drwiąc z pragnienia linearnego porządku. (s. 11-12)

Ostatnio czytałam „Ucho Igielne” Wiesława Myśliwskiego. W tej książce funkcja czasu w życiu człowieka też jest zagadnieniem tajemniczym, które nie ma nic wspólnego z linearnym upływem czy chronologią. Również OSTATNIO (to wspaniałe określenie – niby wpisujące się w tradycyjne pojęcie upływu czasu, a przy okazji pojemne, kurczliwe, rozciągliwe, jak z gumy) napada mnie, wręcz atakuje myśl o spisaniu rodzinnych historii. Brakuje w nich jednak porządku chronologicz-

nego. Przyczyną tego braku jest inny – brak wiedzy na temat życia moich przodków. Informacje, które chciałabym spisać są poszatkowane, niepokładane, niekompletne, pełne znaków zapytania. Tych dziur nie można, nie wypada przecież uzupełnić prawdopodobną fantazją, jak to się pięknie mówi – wcisnąć kit (w szczeliny niewiedzy). Rozumiem jednak Kalinę, rozumiem Joannę Bator, które buntują się przeciw Chronosowi, ulegają podszeptom snów, echom wróżb, namowom nieoczywistych intuicji: piszą, jak im się wydaje, łączą fakty według tego, jak one do siebie pasują, „nie licząc godzin i lat”.

Uparte błądzenie po tym labiryncie jest domeną kobiet. Bez mapy i kompasu, bez planu, bez zabezpieczeń, bez ograniczeń, bez *ratio*. Może to tylko one potrafią skoczyć na główkę przez epoki, wojny, języki, życiorysy, wrazić palec pod powiekę, rękę pod skórę i zebra, wyłączyć mózg, ścisnąć serce? Dokopać się do sedna, poczuć impuls, który Bercie kazał pokochać i zniechęcić, Barbarę pchnął do makabrycznej zbrodni, Violetkę gonił wiecznym głodem i wykończył emocjonalnie Kalinę... i na koniec ten impuls poznać, zrozumieć, oswoić i wykorzystać na własny użytek – oczyścić się.

Życie Berty Koch (babki narratorki) ma niezaprzeczone konsekwencje w życiu Kaliny, choć nigdy się nie spotkały,

a ich czasy zostały – wydawałoby się, że bezpowrotnie! – odgradzone przez dwa kolejne pogmatwane życiorysy Barbary i Violetty, wojnę, nową granicę między państwami, nowy język, zbrodnię, więzienie i śmierć. Okazuje się, że nawet takie żelazne kurtyny między pokoleniami obracają się w pył wobec... no właśnie... wobec czego? Pamięci genetycznej? Pamięci komórkowej? Pamięci emocji?

Po raz kolejny pokazuje się człowiekowi prastara prawda, że bez korzeni nie da się wypuścić nawet listka, nie mówiąc już o rodzeniu owoców... Z toczzonego gangreną pnia nie wyrosnie nowy pęd. Kalina przywalona tajemnicami matki, babci i prababki, grzęznąca w bagnie niedopowiedzeń, plotek i nieswojej, bo odziedziczonej, winy, musi uporządkować historię rodziny. Wtedy dopiero będzie mogła uwolnić się,



JOANNA BATOR
„GORZKO, GORZKO”
WYDAWNICTWO ZNAK
KRAKÓW 2020

bezpiecznie rozpocząć własną historię, po swojemu ją zapisać, a nie według traum wcześniejszych pokoleń, dźwigając i powtarzając błędy. Z pomocą detektywa Smętowicza podąża śladami antenatek, zbiera okruchy, jak pojedyncze puzzle, układa je wyrywkowo, tak, że dopiero końcowy rozdział daje ogłód na całą tę układankę. Każda jej część jest ciekawa, niemal osobna, jak pomniejszona opowieść w strukturze większej opowieści, przeskalowana jak fraktal.

Dlatego też „Gorzko, gorzko” wciąga – jest układanką złożoną nie tylko z fragmentów życia Berty, Barbary, Violetty i Kaliny, ale także kalejdoskopową mozaiką najsilniejszych uczuć: miłości, nienawiści, szczęścia, cierpienia, bólu, zemsty, wigoru i stuporu, pragnienia ist-

nienia, pragnienia zniknięcia. Jest historią ostatnich stu lat opowiedzianą przez kobiety, ale tylko dla twardzieli. Jest też tekstem kulinarnym, w którym gotowanie, jedzenie, smakowanie, doprawianie mają niezwykle znaczenie. Smak i powonienie są zaangażowane podczas czytania tak mocno, że dołączony na ostatniej stronie przepis na pastę śledziową Berty Koch (doskonały!) musiałam wykorzystać już w kilka dni po lekturze i to był strzał w dziesiątkę. Naprawdę – warto sięgnąć po „Gorzko, gorzko”.

Agata Front

*W „Stu latach samotności” G.G. Marquez jest taki moment, kiedy rodzinę Buendiów dotyka dziwna choroba. Buendiowie zapo-

minają. Gubią znaczenie słów, nie pamiętają, jakie jest przeznaczenie przedmiotów... Świat wokół siebie oklejają karteluszkami, które mają za zadanie przypomnieć, że to służy do krojenia chleba, to do siedzenia, a tamto do przykrywania się, gdy jest zimno. „Fiszki z Macondo” to tytuł bloga, który założyłam, by zapisywać wrażenia o przeczytanych książkach. Wydało mi się to konieczne, ponieważ pamięć mam bardzo słabą. Jest to miejsce, do którego zawsze mogę wrócić i przypomnieć sobie, czy daną książkę miałam w rękach i co na jej temat myślałam – bo w Internecie nic nie ginie, jak w przyrodzie.

www.rodzynkiewicz.wordpress.com

Wspomnienie o Halinie Małaczyńskiej

W dniu 7 listopada 2022 roku zmarła Halina Małaczyńska z domu Skowrońska – „pniok kolbuszowski”.

Pani Halina urodziła się 5 lipca 1933 roku w Kolbuszowej jako jedna z czwórki dzieci profesora biologii kolbuszowskiego liceum – Jana Skowrońskiego, bratanica dr Kazimierza Skowrońskiego (regionalisty), siostra Macieja Skowrońskiego (założyciela, wieloletniego dyrektora Muzeum Kultury Ludowej w Kolbuszowej, regionalisty). Miała dwie siostry Małgorzatę i Barbarę.

Całe swoje życie związana była z Kolbuszową, pracowała 34 lata w administracji powiatowej, gminnej, a także miejskiej. Pracę zawodową rozpoczęła w 1954 roku w Prezydium Powiatowej Rady Narodowej piastując szereg różnych stanowisk, od referenta po funkcje kierownicze, odpowiedzialne za sprawy dotyczące administracji, planowania gospodarczego, oświaty, budżetu oraz zasobów ludzkich. Przez wiele lat była kierownikiem Wydziału Zatrudnienia i Spraw Socjalnych Urzędu Miasta Kolbuszowa i z tego stanowiska przeszła na emeryturę w czerwcu 1988 roku.

Oprócz pracy zawodowej, którą wykonywała z dużym zaangażowaniem, pełniła szereg funkcji społecznych. Wielokrotnie uhonorowana medalami i odznaczeniami państwowymi za działalność na rzecz lokalnej społeczności. Była radosną i otwartą osobą, niezrównaną „duszą towarzystwa”, miała wielki talent krasomówczy. Była Żoną, Matką, Babcią i Prababcią.

Cześć jej pamięci.

Medale i odznaczenia:

- 1972 - Odznaka „Zasłużony dla Województwa Rzeszowskiego”
- 1974 - Srebrny Krzyż Zasługi
- 1975 - Medal XXX - lecia PRL
- 1976 - Odznaka „Zasłużony Działacz Frontu Jedności Narodu”
- 1978 - „Złoty Krzyż Zasługi”

BARBARA BOCHNIARZ, MAREK GIL



Wspomnienie...

Janusz Brudz (1966-2022) urodził się w Sokołowie Małopolskim w rodzinie nauczycielskiej. Po ukończeniu Szkoły Podstawowej w Raniżowie naukę kontynuował w 5-letnim Technikum Mechaniczno- Elektrycznym w Rzeszowie. W 1986 roku kończy naukę, zdaje egzamin zawodowy i uzyskuje świadectwo dojrzałości. Podejmuje pracę w Przedsiębiorstwie Obrotu Artykułami Wyposażenia Mieszkań „DOMAR” na stanowisku radiotechnika. Od 24.04.1987 roku do 10.04.1989 roku odbywa zasadniczą służbę wojskową. Po jej zakończeniu pracuje, jako monter podzespołów radiotechnicznych w Zakładach Radiowych „UNITRA” w Rzeszowie, następnie zostaje sprzedawcą w sklepie do 30.04.1991 roku. W grudniu 1992 roku rozpoczyna pracę w Urzędzie Miasta i Gminy w Kolbuszowej na stanowisku pracownika fizycznego.

W lipcu 1993 roku zostaje zatrudniony w Bibliotece Publicznej Miasta i Gminy w Kolbuszowej, najpierw na stanowisku magazyniera bibliotecznego, później młodszego bibliotekarza i bibliotekarza. Podczas pracy w bibliotece uzupełnia wykształcenie kierunkowe. W 1994 roku rozpoczyna naukę w dwuletnim Pomaturalnym Studium Bibliotekarskim w Rzeszowie, które kończy w 1996 roku, zdając egzamin końcowy z wynikiem dobrym. Był to okres kiedy kolbuszowska biblioteka wdrażała nowe technologie. Janusz Brudz z przekonaniem i dużym entuzjazmem włączył się w ten proces. Łącząc swoje techniczne wykształcenie z wiedzą humanistyczną zdobytą na studium bibliotekarskim. Chciał wiedzieć więcej, starał się uzupełniać wiedzę na kursach, wykładach, seminariach. Pamiętam, z jaką pasją dzielił się wiedzą zdobytą podczas szkolenia prowadzonego przez Annę Paluszkiewicz (1941-2004) na temat: stosowania formatu USMARC w komputerowych katalogach bibliotecznych, czym i po co jest kartoteka haseł wzorcowych w elektronicznych bazach danych. Problematyka ta dla bibliotekarzy bibliotek publicznych była nowością.

Był Osobą otwartą, serdeczną zarówno w stosunku do czytelników jak i koleżanek i kolegów z pracy, uśmiechnięty, pomocny. Lubił i cenił sobie kontakty z drugim człowiekiem. W bibliotece pracował na różnych stanowiskach, w razie potrzeby wykonywał również drobne naprawy, gdy była potrzeba wozził także swoim „maluchem” książki. Lubił i cenił pracę w bibliotece.

Założył rodzinę, urodził mu się syn Adrian. Rozpoczął budowę domu. Zabiegając o środki na pokrycie kosztów jego budowy oraz wykończenia zdecydował się na wyjazd za granicę. Początkowo poprosił o urlop bezpłatny, później podjął decyzję o wyjeździe z rodziną do USA na stałe. 20 grudnia 2000 roku wpłynęło do biblioteki pismo z prośbą o rozwiązanie umowy za porozumieniem stron, z tym dniem przestał być pracownikiem kolbuszowskiej biblioteki. Jego sentyment do biblioteki i zawodu bibliotekarza jednak pozostał, czemu wielokrotnie dawał wyraz podczas pobytu w Polsce.

W USA zamieszkał najpierw w Garfield, później w Elmwood Park. Przez 23 lata pracował w C&F Fence Company. Zmarł 23.03.2022 roku w Passaic New Jersey. Pogrzeb odbył się 28.03.2022 roku. Prochy zostały sprowadzone do Polski i 13.05.2022 po mszy świętej odprawionej w Sanktuarium Przemienienia Pańskiego w Cmolasie spoczęły na zawsze na tamtejszym cmentarzu. Janusza Brudza żegnała Rodzina, liczne grono przyjaciół i znajomych w tym bibliotekarze.

Żegnaj Janusz, odszedłeś zdecydowanie za szybko, spoczywaj w pokoju.

ANDRZEJ DOMINIK JAGODZIŃSKI



Promocja I tomu „Dziejów Kolbuszowej”

W poniedziałek, 6 lutego 2023 roku w budynku Oddziału Edukacji Kulturalnej i Regionalnej Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej w Kolbuszowej miała miejsce niezwykła uroczystość. Poświęcona ona była promocji I tomu „Dziejów Kolbuszowej”. Obejmuje on historię naszego miasta od czasów najdawniejszych do roku 1772. Publikacja pod redakcją naukową ks. dra hab. Sławomira Zycha jest jedną z trzech części „Dziejów Kolbuszowej”.

W uroczystości udział wzięli zaproszeni autorzy poszczególnych artykułów, które znalazły się we wszystkich trzech planowanych tomach „Dziejów Kolbuszowej”. Zaproszenie przyjęli także samorządowcy z Burmistrzem Janem Zubą, Przewodniczącym Rady Miejskiej Krzysztofem Wilkiem i Starostą powiatu kolbuszowskiego Wojciechem Cebulą. Wśród gości nie brakowało także mieszkańców Kolbuszowej. Była to dla nich okazja do zakupienia promowanej książki i zdobycia autografu autorów. Wysiłek włożony w powstanie wydawnictwa docenili Burmistrz Kolbuszowej i Przewodniczący Rady Miejskiej wręczając autorom podziękowania wraz z egzemplarzami I tomu.

Idea powstania monografii Kolbuszowej opisującej całą jej dotychczasową historię, sięga roku 1939. Wtedy to pomysł powstania publikacji zainicjował Kazimierz Skowroński. Kolbuszowski historyk kontynuował swe marzenie także po II wojnie światowej w latach 70 – tych wraz z Towarzystwem Opieki nad Zabytkami Przyrody i Kultury im. Juliana Macieja Goslara. Plany te przerwała niespodziewana śmierć dra Kazimierza Skowrońskiego. Po raz kolejny powrócono do idei powstania monografii Kolbuszowej w roku 2019, kiedy to Rada Miejska z inicjatywy Regionalnego Towarzystwa Kultury przekazała środki finansowe na powstanie monografii. Zadania podjął się ks. dr hab. Sławomir Zych, który zebrał wokół siebie zacne grono naukowców, którzy podjęli się żmudnego opisania dziejów Kolbuszowej.

Ponad dwuletnią pracę nad monografią zakończyła promocja I tomu. Kolejne tomy opisujące historię Kolbuszowej do czasów współczesnych zostaną wydane do końca roku 2023.





Dzieje Kolbuszowej

TOM I
Do 1772 r.





REWERS

*T. Dubik
Kolbuszowa
Maj 1906.*

FOTOZAGADKA

Kolejna zagadka przedstawia fotografię z rodzinną sceną. Na tle tajemniczego, drewnianego budynku widać niewielki powóz zaprzęgnięty w konia. Na powozie służącym typowo do przewozu kilku osób siedzi dwoje dzieci – dziewczynka (około lat 8-10) i chłopiec (około 10-12 lat). Ubrane są w świąteczne stroje z kapeluszami na głowie. Chłopiec siedzi na przedniej ławeczce powozu, trzymając za lejce konia. Na fotografii nieco z boku stoi trzecia postać, dorosły mężczyzna (około 40 lat) z brodą, trzymający za uzdę konia. Ubrany jest elegancko, nosi wysokie, skórzane buty, na głowie ma skromne nakrycie głowy.

Zdjęcie zostało wykonane przez fotografa „T. Dubika w Kolbuszowej” w maju 1906 roku o czym świadczy napis na odwrocie. Na ozdobnej tekturce (passe-partout) odręczny napis „Świerczów Maj 1906.”

Nie wiadomo gdzie została wykonana fotografia. Wprawdzie napis wskazuje na Świerczów, ale żaden z istniejących tam kiedyś i obecnie budynków nie pasuje do tego na fotografii. Najbardziej podob-

nym budynkiem mogącym odpowiadać mu jest budynek ochronki, stojący na podwórzu siedziby Sióstr Służebniczek przy ul. Kościuszki. Wskazują na to szalowanie budynku, dach kryty gontem.

Zagadką także pozostają postaci na fotografii. Przyjmując odświętny ubiór całej trójki bohaterów należy domniemać, że ich pochodzenie jest wysokie. Tu pomocną staje się data powstania fotografii. Jeżeli przyjmiemy, że osoby mają „wyższe” pochodzenie, postaciami, które odpowiadają tym warunkom są członkowie rodziny Tyszkiewiczów. Dorosły mężczyzna to hrabia Janusz Tyszkiewicz (1862-1913 r.), dwójka dzieci to Natalia (ur. 1894 r.) i Jerzy (ur. 1892 r.), bądź młodszy od niego Stanisław (ur. 1896 r.).

Zagadką nadal jednak pozostaje osoba fotografa, który pozostawił swoją pieczęć na odwrocie fotografii. Kim jest tajemniczy T. Dubik?

REWERS

Świerczów Maj 1906.

